CENA ZŁ 20

W numerze: Stępowski — Telega — Woroszylski — Żylińska

CZYTELNIK

SOPOT
ul. Czerwonej Armii 10
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

Odra tygodnik

NUMER 23 (185) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 26 CZERWCA 1949 ROKU ROK V

JAROSŁAW ROGALA

Zamurowany Xiążę

Na skraju Słupska oglądam jeszcze jeden, okropnie pobudowany kościół. Jest rażąco świeży i niemiecki.

Jedyny interesujący jego szczegół można oglądać w Muzeum w Szczecinie. Najstarsza to była „cerkwia" chrześcijańska, apostolskiego patrona św. Piotra. Rozebrali ją Niemcy 90 lat temu. W murze tkwił zwykły polny kamień, na którego wygładzonej stronie nieudolna pra-ręka wykuła postać człowieka. Nagrobek to był czy bóstwo — trudno dociec. Rysunek pra-ręki trwa i jest świadectwem, jak człowiek może w tych stronach po raz pierwszy porwał się, by przetworzyć opokę. Śmiały to był wyraz.

Rozglądam się wkoło.

Czy na tymże wzgórku stał gaj z prawieka, a wśród niego ten — nieobecny już tu — a znajomy — kamień. Dla upokorzenia pogańskiego bóstwa wmurowano go w podwaliny „cerkwi" nowej wiary.

Pociąga mnie dalszy pagórek. Może tu?

A może dopiero następny?

Wznoszę się. Niespodziewanie staję wobec miejskiego cmentarza.

Nie szukałem jakichś najstarszych zakątków. Wgłębiłem się w pierwszą lepszą aleję, a potem rozpocząłem lustrację nazwisk na nagrobkach. Mówiły do mnie germanizacją imion, zniemczeniem pisowni, a przecież z obcego powleczenia gotyckich liter wyzierał płoski, zrozumiały duch słów: Hermann Mattick (od Mateusza: Matik), Henriette Kiwat, Gustaw Wendt (Wend Słowianin), Elisabeth Strelow, „S. A. Obersturmbannführer Franz"... Kamiński.

Dalej wyzierały, z pośród czysto niemieckich, Puttkamerowie (z podkomorzych książęcych, młodsza gałąź Święców), jakaś urodzona Perlick, Mitzlaff, Rosalie Demankowski, Retzlaff, Kranitzki, zeslawizowany z niemieckiego imienia Ottow, Rahmlow (urodzona Unnasch Nienasz), Nikolaiski, Schernowske (Czarnowska), typowo autochtoniczne Donow, Roloff, Technow, Talubiow, v. Gottberg-Dübsow, znów Mitzlaff, Rasenow, Warsow, Wussow, Treptow, Sielaff i wręcz polscy: Stannewitz (Staniewicz), v. Piechowski, Albert Nagursky, Erich Naschiński, Schametzki, wreszcie Uda Kowalski.

Przerywam czytanie. Cały cmentarz tchnie nazwiskami umarłej tu swojszczyzny, która przegniła w obcość. Szkoda, że nosiciele tych nazwisk tak się stopili z przybyszami germanizmu, że z ich ucieczką także zbiegli za Odrę. Zniemczono ich niedawnym czasem szkołą, luterskim psalmem i drillem kaprali Fryderyka Wielkiego. Współczesna, rozsądna szkoła polska mogłaby dorosłym, a w każdym razie dzieciom przywrócić rozeznanie. Zbałamucone umysły odkryłyby samopoczucie ich własnych nazwisk.

Ucieczką z tej ziemi zaprzepaścili się w swoim smutnym zaślepieniu. Straszna rzecz stała się na tej ziemi: ludziom ukradziono ich pra-duszę.

Schodząc ku miastu, staję nad Słupią. Miasto ma własną rzeczkę. Ani ku Odrze, ani ku Wiśle płynie. Ma swój nieprzymuszony kierunek: Marze. Czy od miasta, czy też miasto od niej wzięło swą nazwę? Węzeł w każdym razie jest nierozerwalny: są stopione ze sobą.

Mijam mosty, od których zaminowań wszczęła się pożarna ruina śródmieścia. Brama Młyńska ma utrącony szczyt. Brodu przez to miejsce broniono, odkąd tu zrodziły się jakieś koncepcje taktyczne czy choćby gospodarcze.

Młyn tu tkwi, jak stara konieczność rolniczego kraju.

Z odwiecznego grodziska wywiązała się tu rezydencja o szczególnym przenaczeniu. Stąd wyszli ostatni książęta, tu usychały ostatnie liście ich rodowego drzewa.

Książęta linii słupskiej zapewne przemieszkiwali naprzód w grodzie pod Sławnem (Stare Sławno), skąd przenieśli się potem do nowego Sławna, z okresu „skandynawskiej kariery" Eryka I urosło nadmorskie Darłowo, słupski zamek dopiero Bogusław X rozbudował z dawnego kasztelańskiego grodziska (r. 1507). Musiał być gotycki, bo w tym stylu tkwiły gusta Długoszowego wychowanka a Zjednoczyciela Pomorza. Wygląd jego nie jest znany, ani mistrz odbudowy. Określano go jako „dom mieszkalny", musiał więc być jedną z rezydencji, których manię przywiózł ks. Bogusław ze swych zagranicznych, reprezentacyjnych podróży. Łączył się on poprzednio w kompleks obronny ze starym klasztorem Dominikanów, wspólnie z nim tworząc najobronniejszą część obmurowanego miasta. Być może, że obronny charakter mógł tu jeszcze być zachowany, choć raczej wydaje się to wątpliwe.

Do form obecnych przybliżył go ks. Jan Fryderyk, prawnuk Bogusława X, protektor Reformacji. Przebudowy w duchu Odrodzenia dokonał architekt nadworny, Wilhelm Zachariasz (poprzednio na dworze brandenburskim), zdobiąc go także wewnątrz. Siedziba, poważna i prosta, staje się rezydencją wdów książęcych, który to charakter zachowuje do końca dynastii. Do śmierci tu przebywała ostatnia Gryfitka, ks. Anna, wdowa po ks. Erneście de Croy i Achatt, siostra ostatniego księcia Bogusława XIV.

Zamek stał się skarbcem, w którym ulokowano bogatą spuściznę dzieł sztuki, księgozbiory i inne ruchomości po wymarłej dynastii. Po śmierci ks. Anny, jedyny jej syn, jako bezsporny spadkobierca, miał te muzealia w posiadaniu, aż i on zmarł w r. 1684, a część ich rozdał swoim testamentem.

Zapewne szwedzkie panowanie uszczknęło niejedno, a ostatecznie skarbiec skasował pruski Fryderyk Wilhelm I (r. 1731). Cenniejsze przemioty wzięto do Berlina, resztę zlicytowano (r. 1739). Z zamku „król żołnierzy" uczynił... koszary.

Ogromny ten budynek wił się potem w rękach pruskich kwatermistrzów, doszedł wśród doraźnych przebudówek do takiego chaosu okien, jaki reprezentuje ściana południowa (od ulicy). Dziś stoi opuszczony, grubym murem zwyciężający przeciwności historii. Na jego sensowną restaurację potrzeba by wiele pieniędzy.

Zostaje nam teraz ostatni zabytek.

To dawny klasztor OO Dominikanów.

Są to dzieje niezwykle ciekawe. Otóż przede wszystkim klasztor ten stanowi żywy dokument polskiej ekspansji zakonnej na Pomorze. Nie z Danii, ani z Niemiec — tylko z Polski przyszli tu zakonnicy z południa, jak do nas z Włoch. Dominikanie polscy rozwinęli się ze swojej bazy krakowskiej na początku wieku XIII a działalność św. Jacka Odrowąża, po ustaleniu placówek w Krakowie i we Wrocławiu, kieruje się ku Bałtykowi. Tu, jako trzecia fundacja Dominikanów prowincji polskiej, otrzymują ci zakonnicy od ks. Warcisławi III kościół św. Idziego w Kamieniu (1228). Nie jest rzeczą pewną, czy św. Jacek placówkę tę zakładał osobiście czy też powierzył to posłannictwo któremuś z zakonnych swych braci. W każdym razie powstała za jego życia.

Natomiast dom w Słupsku został założony w r. 1278, jako już fundacja 24 w rozwoju prowincji polskiej. Była to filia domu w Gdańsku, skąd przeor gdański, Wojan, za pozwoleniem ks. Mszczuja II przybył i wybrał miejsce „między miastem a grodziskiem". Stanął tu kościół św. Jana, dom zakonny, a dotąd to miejsce ograniczają ul. Dominikańska i Świętojańska. Fakt wyboru Słupska wskazuje na okoliczność, że było to miasto znaczne lub w znaczeniu rosnące, bo w miastach pośledniejszych Dominikanie nie osiadali. Tylko miasto o charakterze centralnym regionu mogło zyskać podobną placówkę kaznodziejską.

Nie będziemy wdawać się w szczegóły wojny klasztornej, która zarysowywała się między prowincją polską, a w szczególności jej odłamem pomorskim (stolica w Kamieniu) a odłamem marchijskim kręgu prowincji niemieckiej, stwierdzimy tylko fakt przynależności do prowincji polskiej słupskich Dominikanów, co dotrwało aż do końca ogólnej zależności Pomorza od metropolii gnieźnieńskiej.

Z tym większym więc pietyzmem obejrzmy trwający kościół. Nie uszkodziła go obecna wojna, uprzednio po pewnych zniszczeniach Reformacji, sekularyzowany (r. 1535), zmieniony został przez ks. Erdmutę, żonę ks. Jana Fryderyka, na kościół zamkowy, za jej wdowiego w Słupsku dożywocia.

Oglądamy charakterystyczną budowlę klasztorną. Wysmukła jest wieża w kształcie ośmioboku. Składnie łączą się z tym obronnym widokiem resztki starych murów miejskich.

Wnętrze kościoła zawiera dwie szczególne osobliwości. Dwa nagrobki ostatnich z rodu....

Nagrobek marmurowy zajmuje wielki płat ściany. Tablica pamiątkowa matki.

„Anna, księżna szczecińska, pomorska etc", urodzona 3. VIII. 1590, poślubiona w czerwcu roku 1619 ks. Ernestowi de Croy, w 40 latach swego życia wdowa, zmarła 7. VII. 1660 r.,

„... z rodu swego Gryfitów najbardziej pobożna, roztropna, umiarkowana, wspaniałomyślna..."

Wystawił syn: „Ernest Bogusław, dux Croy", Świętego Cesarstwa Rzymskiego Xiążę.

Po bokach w medalionach: Matka i młodociane wówczas książątko. Podobni ogromnie: blond włosy, identyczny nos, usta stanowcze, wyraz oczu uważny... W dole marmurów sama postać księżnej, w szacie długiej, nieznacznie mniejszej...

A teraz syn...

Po przeciwnej stronie ołtarza. Ach, to wreszcie odkryto! Jeszcze niedawno temu stała tu ochronna ściana z cegieł, broniąca od uderzeń bomb, które mogły spaść na Słupsk i uszkodzić dzieło sztuki.

Wreszcie książę odmurowany!

Podchodzę bliżej. Mocny wyraz całości. Duma jest w tej postaci, mimo że na klęczniku... Rzekłbyś, że barokowy wielmoża przykląkł tylko po rycersku na jedno kolano. Mimo poduszki, nieswojo jego kolanom. Zaraz wstanie.

Dziwnie człowiekiem tym pokierowały zmienne losy historii. Matka jego, pomorska księżniczka, wyszła zamąż za dalekiego Niderlandczyka, też niewielkiego księcia, Ernesta de Croy et d'Archott. Trudno dopatrzeć się w tym jakiegoś politycznego sensu. Współczesne małżeństwa jej braci były wszystkie germanizujące. Ona jedna zbliżyła się ku innym Niderlandom. Może to była istotnie miłość? Indywidualność ks. Anny objawiła się w imionach jedynaka: Ernest — dostał po ojcu i... wyraźnie: Bogusław — na cześć jej brata oraz rodowych zwyczajów Gryfitów, suwerenów Pomorskich.

Gdy wygasł ród, jego to miano na Pomorzu za prawego dziedzica krwi. Gdyby nie wojna 30-letnia, jej okropności i nie brandenburskie czyhanie, może doszedłby panowania na zjednoczonym znowu Pomorzu i zapoczątkował nową dynastię.

... ostatni Gryfita, chociaż po kądzieli" — nasuwa się określenie z dawnych czasów. Godny ostatni, co istotnie nie przedłużył rodu. Skazany był gotunek ten na wymarcie aż do najbardziej ukrytej przedłużki. Przekleństwo pięknej Sidonii z Borku było nieodwracalne.

Patrzę w oczy posągu. Są tuż, na poziomie oczu widza. Mając lat 62, kazał Ernest—Bogusław kuć ten nagrobek, w dwa lata potem umarł, jako bezdzietny, nieżonaty nawet, tytularny — nie wiedzieć, czy luterski — „kanonik" kamieński, grzecznie wysiedlony już przez Prusaków w gościnę do Królestwa.

Marmurowo-biała jest ta pojemna głowa, okryta kręconym włosem. Twarz zażywna, usta wąskie, zaciśnięte, podwójny podbródek, wydatny, energiczny z profilu. Brwi końcami — jakby z zastanowieniem — lekko uniesione, orli nos Matki jest subtelny i rasowy. Patrzą oczy marmurowo-puste.

(Dokończenie na stronie 2)

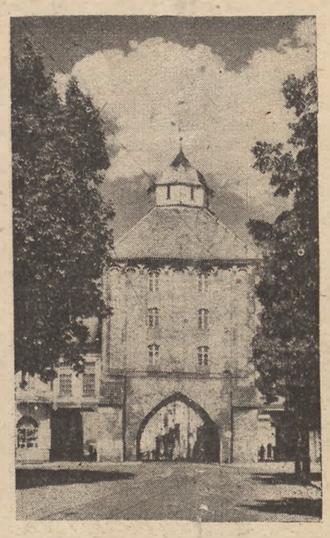

Nowa brama w Słupsku

Zamek książęcy

Kościół podominikański

STANISŁAW BUDIN

Opowieść detektywistyczna

RZECZ ta godna jest pióra Edgara Wallace'a, Oppenheima lub innych słynnych pisarzy detektywistycznych, przy lekturze których ścina się krew w żyłach. Jest to rzecz o sławnej Amerykance, rozwiedzionej małżonce laureata nagrody Nobla, dziennikarce światowej sławy, kobiecie zaprzyjaźnionej z Winstonem Churchillem. Pani ta nazywa się Dorota Thompson. Jej były mąż to nikt inny jak Sinclair Lewis.

Dorota Thompson była jedną z najwybitniejszych dziennikarek amerykańskich i być może jedyną, która poświęciła się polityce zagranicznej. Odbyła podróży po całej Europie i miała znajomości wśród najwybitniejszych polityków europejskich. Nie podobała się jej imperialistyczna polityka Hitlera podobnie jak nie podobała się Churchillowi, którego czcicielką była zawsze. W artykułach swoich występowała energicznie przeciwko polityce „pojednania". Nie należała do żadnego zespołu redakcyjnego, była tzw. „columnist", to jest sama zatrudniała cały sztab sekretarzy, reporterów i asystentów, których anonimowa pomoc dopomagała jej do napisania codziennie jednego artykułu, sprzedawanego za tłuste pieniądze przeróżnym pismom w Ameryce.

Przeznaczeniem tej kobiety stał się jej podziw dla Winstona Churchilla. Dopóki Churchill był przeciwko hitleryzmowi, dopóty była i ona. Gdy po Stalingradzie polityk brytyjski zaczął zwracać coraz większą uwagę na „niebezpieczeństwo bolszewickie", zaczęła i ona. Kiedy wolą ludu brytyjskiego Churchill złożyć musiał swój wysoki polityczny urząd, straciła i p. Dorota, ze względu na swój podziw dla polityka, który odchodził, swoje najznaczniejsze pismo „Herald Tribune". Gdy Churchill propagować zaczął zbliżenie do Niemiec, nowy dzień imperializmu niemieckiego oraz wojnę atomową przeciwko Związkowi Radzieckiemu — to samo zaczęła robić i ona.

W latach przed drugą wojną światową przybywali do Ameryki polityczni uchodźcy z Niemiec i z krajów będących pod władaniem faszyzmu niemieckiego. Był między nimi jeden z najlepszych dziennikarzy niemieckich, antyfaszysta Herman Budzisławski. Kiedy naziści pozbawili wolności wielkiego obrońcę pokoju i dziennikarza Karola Ossietzky'ego, wydawcę i redaktora słynnej „Die Weltbühne", powierzono redagowanie tego pisma na emigracji praskiej Budzisławskiemu. Monachium dokończyło żywota znakomitego tego pisma i zmusiło Budzisławskiego do nowej emigracji.

W Ameryce Budzisławski, jak większość uchodźców antyfaszystowskich, walczył przede wszystkim z trudnościami życia praktycznego i tutaj zetknął go ktoś z Dorotą Thompson. Było to w pierwszych latach wojny, gdy Churchill rozpływał się jeszcze w przyjaznych słowach dla Związku Radzieckiego i w nienawiści do hitlerowskich Niemiec. Pani Thompson potrzebowała w tym czasie koniecznie dobrego asystenta, który by znał doskonale Europę i całą jej skomplikowaną problematykę. Pani Thompson zatrudniła Budzisławskiego.

Od tej chwili wydatnie podniósł się poziom artykułów pani Thompson. Pojawiły się w nich szczegóły, których nie zauważyli inni dziennikarze. Sława pani Thompson, jako najlepiej poinformowanej dziennikarki amerykańskiej o problemach polityki europejskiej, zdobyła szeroki rozgłos.

Budzisławski był bardzo smutny, kiedy żegnałem się z nim przed swoim wyjazdem do Ameryki. Zazdrościł mi, że wracam do domu, do Europy. Jeszcze więcej zazdrościł mi, że na terenie Ameryki mogłem pracować jako dziennikarz a nie anonimowy „asystent", który płody swego rozumu daje innym za kromkę chleba. I zwierzył mi się, że służba jego staje się coraz więcej nieznośna. Bo im dalej, tym więcej próbowała pani Thompson wpływać w swych artykułach na zmianę poglądów swego asystenta, korzystając w dalszym ciągu z jego wiadomości w swej „samodzielnej" pracy. Atoli rychło uśmiechnęło się szczęście również i do Budzisławskiego. Zawezwano go do Lipska. Wykłada teraz na Uniwersytecie w Lipsku.

Pani Thompson napisała obecnie w „Saturday Evening Post" (honorarium za jeden artykuł 4.000 dolarów czyli około 50.000 złotych, co prawda nie dla każdego śmiertelnika, lecz dla dziennikarki typu p. Thompson i to głównie ze względu na funkcję polityczno-wychowawczą jej artykułów) artykuł, w którym opowiada, w jaki sposób stała się ofiarą wywiadu bolszewickiego.

Twierdzi, że w czasie wojny, w swej dobroci i naiwności, przygarnęła do siebie ubogiego emigranta Budzisławskiego, który jednak okazał się gadem, wychowanym na niewinnej piersi. Fakt, że wykłada w Lipsku w strefie radzieckiej, potwierdza najlepiej pogląd, że to komunista. Co więcej, pani Thompson jest obecnie przeświadczona, że Budzisławski zawsze był komunistą, że stanowi wtyczkę obcej agentury, że miał za zadanie badanie jej korespondencji i wpływanie na jej poglądy, by kroplami sączyć bolszewicki jad w jej artykuły. Bo jakżeby inaczej starał się o zatrudnienie właśnie u niej? Panią Thompson od samego początku ostrzegano przed tym gadem, ale ona, nie słuchając ostrzeżeń, zaufała własnej intuicji, która przecież gada rozpozna. Ku swej wielkiej hańbie przyznać musi, że intuicja ją zawiodła i że nawet, o zgrozo! zaprzyjaźniła się z nim, że wreszcie Budzisławski ma pewne walory, jest miły i pracowity.

Morał tej detektywistycznej historyjki, którą z taką rozpaczliwą szczerością opowiedziała pani Thompson, jest następujący: jeśli jej, doświadczonej globtreterce i dziennikarce, nie udało się rozpoznać komunisty w człowieku, z którym stykała się codzień przez tyle lat, to jakże się to uda przeciętnemu Amerykaninowi? Przeto, Amerykanie, miejcie się na baczności przed każdym cudzoziemcem, bo w każdym cudzoziemcu tkwi szpieg bolszewicki. Przeto, roztomili współobywatele, domagajcie się ażeby podwyższono wydatki na naszą policję tajną, która broni nas i chroni przed obcymi szpiegami, przeto popierajcie Komitet do walki z działalnością antyamerykańską. Byłam głupia — nie waha się przyznać szczerze pani Thompson — ale z mej smutnej przygody niech naukę wyciągnie dla siebie każdy Amerykanin.

Nasza detektywistyczna opowieść ma szczęśliwe, choć i smutne zakończenie. Pani Thompson „wydostała się" z rąk bolszewickiego szpiega, i może teraz czuwać nad swoimi współobywatelami. Smutne jest jednak to, że dziennikarka, która miała kiedyś miano wielkiego liberała, skończyła jako agent reklamowy faszystów i rasistów, tajnej policji amerykańskiej i Komitetu do walki z działalnością antyamerykańską.

Stanisław Budin

HERMAN BUDZISŁAWSKI

Amerykańskie iluzje

Kto w pewnej chwili sięgnął do „Fausta", ażeby przeczytać „Spacer wielnkanocny", znajduje tam miejsce, w którym jeden mieszczanin mówi do drugiego: „Nie znam żadnego lepszego zajęcia dla siebie w niedzielę i święta, jak rozmowa o wojnie i wojennej wrzawie, kiedy z tyłu, daleko, w Turcji, ludy uderzają na siebie".

Tym samym przypomniano nam wydarzenia wojenne, nie tylko daleko w Turcji, ale jeszcze znacznie dalej, w dalekich Chinach i w całej Azji wschodniej.

W tym momencie moglibyście zapytać, gdzie właściwie dzisiaj w Turcji strzelają, tam przecież chwilowo wszystko jest dosyć spokojne. Ale w roku 1808, kiedy Goethe opublikował pierwszą część „Fausta", była Turcja o wiele większa, niż dzisiaj. Grecja była na przykład turecką prowincją, która była co prawda bardzo niespokojna, ale swoje wielkie powstanie zaczęła przecież dopiero około r. 1821. Od tego czasu, prawie półtora wieku walczyli Grecy w rozmaitych formach o swoją wolność. I jeżeli Goethe napomknął o walkach daleko w tyle, w Turcji, to myślał o zaczynających się walkach, mających na celu oswobodzenie południowo - wschodnich narodów od kolonialnego mocarstwa Turków. Grecy zrzucili z siebie jarzmo kolonialne w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, ale potem świeżo zdobyta wolność była im zawsze i ciągle rabowana. Obce mocarstwa, między nimi przede wszystkim Anglia, nasadzały księciów i później królów, którzy w rzeczywistości byli tylko kolonialnymi namiestnikami nowych panów. Nie chcę tu wyliczać wszystkich powstań, które Grecy wszczynali przeciwko takiej obcej władzy. W każdym razie było ich wiele. A kiedy przyszli naziści i rozciągnęli swoją władzę, wtedy greccy patrioci poszli do gór i tam walczyli także przeciwko tym kolonistom. Potem wybiła, jak sądzili Grecy, godzina wolności, był koniec roku 1944. Atoli wtedy wylądowali znowu Anglicy i przyprowadzili ze sobą starego króla, a kiedy Grecy wzięli się do obrony, sprowadzili Anglicy także jeszcze Amerykanów do kraju.

Kiedy spojrzymy na mapę i kiedy małą, odrabiającą zaległości Grecję porównamy z uprzemysłowionym amerykańskim kolosem, powinnibyśmy sądzić, że tak nierówna walka z łatwością będzie rozstrzygnięta. Amerykanie włożyli wiele setek milionów dolarów w interes grecki, dostarczyli broni i oficerów i w zeszłym roku przeprowadzili szeroko zakrojoną ofensywę. A oto w ostatnich 14 dniach przed Wielkanocą osiągnęła grecka armia ludowa bardzo znaczne sukcesy w górach Grammos. Finansowani i kierowani przez Amerykanów greccy faszyści stracili łatwe do obrony pozycje górskie, ich zreorganizowana armia poniosła znaczne klęski, a w Atenach panuje ciężki kryzys rządowy.

Jeżeli Amerykanie nie potrafią zgoła dać sobie rady z niezłomnym pragnieniem wolności małego narodu greckiego, to jakże mieliby oni sprostać takiemu zadaniu, jak podbicie walczącego fanatycznie o swoją wolność, wielkiego narodu chińskiego? Od zakończenia drugiej wojny światowej włożyli Amerykanie od czterech do pięciu miliardów dolarów w chińską wojnę domową.

Teraz akcję tę nazywają w Waszyngtonie krótko: „operation rathole" albo operacja — szczurza nora, ponieważ dobre amerykańskie złoto — jakkolwiek w formie armat i samolotów — zapadło bez śladu w ziemię. Ściśle rzecz biorąc, to oczywiście amerykańska broń wcale nie przepadła. Tworzy ona istotną część uzbrojenia, które zdobyła dla siebie posuwająca się naprzód ludowa armia Chin. Przeważająca część tego uzbrojenia stała się łupem demokratycznych żołnierzy chińskich. Ale bardzo dużo przyniosły także ze sobą grupy zbiegów z armii Kuomintangu. W ostatnich dniach zbiegło z reakcyjnej armii do oddziałów demokratycznych około 300.000 żołnierzy. W ten sposób miała amerykańska dostawa broni do Chin także swoje dobre strony.

Tu chciałoby się zapytać, jak się to właściwie dzieje, że Amerykanie bronią i pieniędzmi wywołują wszędzie na świecie wojny domowe i zwalczają ruchy postępowe. Czynią to przecież nie tylko w Grecji albo w Chinach. Małą drogą okrężną ponad planem Marshalla oddali oni Holendrom i Francuzom do dyspozycji środki do prowadzenia wojny w Indonezji i Indochinach. A czynią to, pomimo że do paktu północno-atlantyckiego włączyli klauzulę, która pomoc zagraniczną w konflikcie wewnętrznym określa jako naruszenie prawa narodów. Według paktu północno-atlantyckiego musieliby Amerykanie dzisiaj prawie na całym świecie nosić miano napastników i być odpowiednio traktowani.

Amerykanie myślą w tej sprawie naturalnie inaczej. Od półwiecza usiłują oni umocnić się w Chinach, a teraz chcieli cały ten olbrzymi kraj opanować. To, że Chińczycy chcą sami sobą rządzić i kierować, odczuwają ani zatem jako niegodziwe wtargnięcie w swoje dawne plany.

W każdym razie przed paroma miesiącami pogodzili oni się już z tym, że Chiny północne przepadły dla Amerykanów. Marzyli, że będą mogli w poprzek przez kraj poprowadzić linię podobną do linii Łaby, tym razem wzdłuż rzeki Jangtse, i że wtedy Chiny północne i południowe będą mniejwięcej w takim do siebie stosunku jak strefa wschodnia do zachodniej.

Z powodu tej amerykańskiej iluzji nie przyjęli reakcjonaści chińscy warunków pokojowych, postawionych im przez przywódcę demokratycznych Chin, Mao-Tse-Tung. I oto przeszła chińska armia ludowa znowu do ofensywy. Przekroczyła ona w dwóch miejscach, na wschód i na zachód od Nankingu, rzekę Jangtse, tę potężną przeszkodę, i jest rzeczą oczywistą, że dni reakcyjnego reżimu w Chinach są policzone.

Jest to zjawisko o historycznym znaczeniu. Tu nie chodzi o pakty i puste demonstracje. W Chinach wschodnich zmienia się świat. Dzisiaj uwalnia się najliczniejszy naród na ziemi, albowiem jedna czwarta ludzkości składa się z Chińczyków. A także walki wolnościowe w Indochinach i Indonezji trwają dalej. Już muszą Francuzi podawać do wiadomości, że nawet najdalej na południe wysunięty skrawek Chin, wzdłuż granicy indonezyjskiej, znajduje się w demokratycznych rękach, i że przez to bardzo zostają wzmocnieni bojownicy wolnościowi Vietnamu. Brutalna holenderska napaść na Jawę i Sumatrę nie doprowadziła do tego, żeby Indonezyjczycy złożyli broń. W gruncie rzeczy jest dokonywający się w Chinach wschodnich przewrót ogromną klęską amerykańskiego imperializmu.

Wielki naród chiński jest znany w dziejach jako jeden z najbardziej miłujących pokój narodów. Od lat dziesiątek jest on oto przez imperialistycznych intruzów zmuszony bronić własnej skóry z bronią w ręku. Ale wydaje się, że ta faza narodowego nieszczęścia zbliża się ku końcowi. Wkrótce wypędzi się z kraju ostatnich agentów amerykańskiego imperializmu, a wtedy w Chinach znowu zapanuje pokój. Zapanowanie zaś pokoju w Chinach będzie istotnym przyczynkiem do pokoju światowego. Podczas gdy na jednej stronie globusu kuje się nowy pakt wojenny, na drugiej stronie globusu biorą górę siły pokoju.

HERMAN BUDZISŁAWSKI.

WIKTOR WOROSZYLSKI

Wiersze

O RÓWIEŚNIKACH KRÓTKO

Wrzesień, niby ranek. Byli dziećmi.
Cóż im łatwa wojna braci starszych?
Życie, jak karabin, ujęli w garść
w czterdziestym drugim, czterdziestym trzecim.

Wlekli tę żołnierkę, jak za duże buty.
Każdy miał w chlebaku trudny sen o Armii.
Dziś, pod pagórkami z darni,
leżą
twarzami na wschód.

Tylko co dzień, ledwie świt wystrzeli,
kłania się chłopakom tupot kopyt.
To popędza chude szkapsko chłop
Na orkę popańskiej parceli.

1945.

LIST INTYMNY

Adresowany do Tadeusza K-ego w miejscu

Bywa źle: gdy u szyi kamień
obcej sprawy, walki niewłasnej.
Bywa źle: obrastać mieszkaniem,
trzecią skórą, światem drobiazgów.

Nie o tobie ta rzecz, Tadeuszu,
Nie o tobie ta rzecz, ani o mnie:
żaden z nas jeszcze życia nie uszył,
obu nam czeladnictwo ogromne.

Czasem myślisz: do ksiąg nie weszły
dzieje.
Noc zapamiętał brzask.
Przysechł do upartej podeszwy
dróg niepotrzebnych piasek.

... Ale przecież — buty nie wieczne,
no, a drogi
wstecz
kiedyż biegły?
Dziś podeszwa twa dziurą świeci
od warszawskiej i gdańskiej cegły.

Jeśliś sam wszedł do celi — wyjdź z niej,
jeśli naprzód — czemu ci żal iść?
Nawet, kiedy nie było dzieciństwa,
trzeba w progu spotkać dojrzałość.

A to znaczy — gdy przy łokciu łokieć
towarzysza z najwytrwalszej klasy,
umiej oczu dwukropka nie cofnąć
przed kieszonkowym plakatem partyjnej legitymacji.

1948.

TOAST W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ

W tę świętojańską noc,
kiedy w puszczy zakwita paproć,
stuknijmy się i pijmy
najgłębszymi ciętymi szkłami.

W tę świętojańską noc
wszystkie duszki wesołe na ucztę zaproś,
a jak nie przyjdzie żaden skrzat ani gnom,
niech Tereska zbędne kielichy potłucze
i pijmy sami.

Rewolucji losom —
nie groźne wino.
Sama jest, jak wino, mocna.
Pijmy
za wszystkich synów,
którzy się urodzą tej nocy!

Słuchajcie, póki nie szumi w głowie,
nie daremnie wznoszę ten toast:
dzielni to będą synowie,
obca im klęska i bojaźń.

Będzie tak:
Którzy się w Neapolu urodzą,
każdy otrzyma bliźniaka
imieniem Gniew.
Ten bliźniak ich dobrze wychowa,
doda siły mózgom i mięśniom,
a gdy bój nastąpi ostatni,
gdy przyjdzie z własnych piersi barykady budować,
nie znajdzie się taki, co drgnie.

A którzy się w Atenach urodzą,
każdy będzie miał bliźniaka
imieniem Nienawiść.
Ten bliźniak pomoże im przetrwać,
a gdy bój nastąpi ostatni
o życie, o wolność, o radość,
wówczas żaden się nie zawaha,
kiedy bliźniak podpowie: zabij!

A jak się urodzą w moim kraju,
w moim mieście: Warszawie, Sofli, Stalingradzie,
to nie będą mieli bliźniaków,
ale za to wielu starszych i młodszych braci.
Więc poznają wesołość wspinających się w górę domów,
szczęście skib rozoranych w polu,
a gdy bój nastąpi ostatni,
pójdą pomóc
braciom
z Aten i Neapolu.

Ciągnijmy!
Już blisko kielichów dno.
Zegar gderliwie bije,
zaraz skończy się noc.

Ani jeden nie zjawił się duszek,
świadczą o tym okruchy kielichów.
Synowie - proletariusze,
wszystkie duszki pal licho!

I bez nich będziecie, jak lwy.
Silni,
wolni,
z ramionami w słońcu.
Więc nie zapraszajcie ich, gdy
zechcecie wypić za ojców,
jeszcze nie takich, jak wy!

Wiersze wyjęte ze zbiorku p. t. „Śmierci nie ma!", który niebawem ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Książka i Wiedza"

Prawa Polski do Ziem Zachodnich (II)

DOKUMENTY

Zagadnienie naukowego opracowania przebiegu zachodnich granic Polski na przestrzeni dziejów, w oparciu o dokumenty niemieckie, było już przedmiotem kilku opracowań, drukowanych po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej.

Chcemy jednak zwrócić uwagę na szereg niedocenianych, względnie niewykorzystanych dotąd należycie przez polską publicystykę, momentów.

Nysa Łużycka i Odra uważane są już od pierwszych lat wystąpienia Polan na widownię dziejową za zachodnią trwałą granicę Polski.

Zarówno Polacy, jak i Niemcy dawali temu wielokrotnie wyraz zarówno przez budowę na tej linii urządzeń obronnych, jak i przez stałą dążność do utrzymania się na niej.

Pierwsi Piastowie, świadomi znaczenia, jakie przedstawiało posiadanie najsłabszego odcinka granicznego między Sudetami i Odrą środkową, zaryglowali go systemem ziemnych fortyfikacji, nigdzie w Europie niespotykanych, a wywołujących jeszcze dzisiaj podziw wśród wielu badaczów. Fortyfikacje te, ciągnące się dziesiątkami kilometrów wzdłuż lewych brzegów rzek: Bobru, Gwizdy i Nysy Łużyckiej. Stanowiły one cały system podwójnych i potrójnych rowów i wałów ziemnych, dochodzących do 50 m wysokości, wzmocnionych licznymi strażnicami i grodami obronnymi, co stanowiło dogodną zaporę, wykorzystywaną, nie tylko w wiekach średnich, ale jeszcze i w wieku XVII i XVIII w czasie ówczesnych operacji wojennych (A. Błoński) „Wracamy nad Odrę", str. 59—65, Londyn, 1942 r.).

Znaczenie Odry, jako polskiej granicy strategicznej zmuszony był podkreślić również i cesarz Fryderyk Barbarossa w roku 1157, stwierdzając, że „Polska sztuką i naturą jest obwarowana... a rzeka Odra całą ich ziemię niby murem otacza i głębokością swą wyklucza zewsząd dostęp". (Kodeks dypl. Wlkp., t. I, Poznań 1887, str. 24—5.)

Granicę zachodnią Polski w opracowaniu Geograph. Institut Carl Flemming u. C. T. Wiskott A. G. Glogau, pokazano na rys. 1.

Słuszność powrotu polskiej państwowości na linię Odry i Nysy Łużyckiej zmuszeni byli uznać poza cytowanymi wyżej i inni uczeni niemieccy, jak:

Edward Backe w pracy: „*Die Landschaftsländer Prov. Brandenburg*" (str. 181), wydanej w 1905 r. w Berlinie,

Friedrich Schilling w pracy „*Ursprung u. Frühzeit des Deutschtums in Schlesien und im Lande Lebus*", wydanej w 1938 r. w Lipsku.

Wybitni politycy niemieccy stwierdzają zgodnie, iż obecne ustalenie tej granicy nastąpiło w wyniku agresywnej polityki, którą od wielu lat prowadziło państwo niemieckie. Tak mówi Wilhelm Meissner, członek centralnego sekretariatu Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), w swym artykule zamieszczonym w pierwszych dniach stycznia 1948 r. w „Neues Deutschland", zaś Heinrich Deiters w swej recenzji pt. „Niemcy i Polska", omawiającej pracę zbiorową Instytutu Zachodniego pt. „Poland Place in Europe", pisze („Aufbau" nr 6, 48, tł. z „Przegl. Zach." nr 7/8, 48).

„Naród niemiecki nie ma zamiaru naśladować narodowego socjalizmu w jego zgubnej polityce. Naród niemiecki chce żyć i ma prawo do swojej egzystencji narodowej. Nagła utrata byłych niemieckich terenów na wschodzie stała się przyczyną już samą w sobie w najwyższym stopniu trudnej sytuacji. Niemniej nie można by prowadzić polityki bardziej fatalnej niż polityka rewizjonistyczna w stosunku do wschodu. Jeżeli Europa ma się odrodzić w ciągu jednego pokolenia po dwóch wielkich wojnach, to okres walki między narodami europejskimi musi się skończyć. Sąd ten można uznać za aksjomat. Myśmy się z całą zaciętością poświęcili tej walce, myśmy wyszli z tej walki z największymi obciążeniami, my musimy z tego powodu z całą energią od niej się odwrócić. Dla żadnego innego narodu wyniki tych usiłowań nie są w tym stopniu ważne, jak dla nas.

Nasz stosunek do Polski jest podstawowym kryterium dla naszego istnienia na terenie, gdzie warunki życiowe tak zasadniczo się zmieniły. Musimy nasz stosunek zewnętrzny i wewnętrzny do narodu polskiego z gruntu zmienić."

Inny polityk — publicysta niemiecki, Georg Honigmann, w styczniu 1949 r. zamieścił w „Berliner Zeitung" (zob. „Odra" nr 15), artykuł poświęcony sprawie granic. W artykule tym autor odpowiada na głosy tych czytelników, którzy odmawiają komunistom niemieckim prawa protestowania przeciwko okrojeniu Niemiec zachodnich z tego powodu, że komuniści nie protestują przeciwko polskim granicom na Odrze i Nysie.

Również przewodniczący Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, Otto Grotewohl w przemówieniu wygłoszonym na zakończeniu Konferencji SED w dniu 28 stycznia 1948 r., zaznaczył, że SED zajęła jasne stanowisko wobec granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. W sprawie tej członkowie SED nie mogą mieć żadnych wątpliwości, ani wahań.

Biuro Prasowe Socjalistycznej Partii Jedności (SED) wydało nawet w pierwszych dniach grudnia 1947 r. oświadczenie, w którym wprost tłumaczy atak rewizjonizmu niemieckiego na granice polskie faktem, że Polska jest dziś krajem demokracji ludowej. Przeciwko tej właśnie Polsce reakcja niemiecka kieruje ogień swych pocisków.

Stanowisko SED jest i dlatego słuszne, że odpadnięcie od Niemiec prowincji zaodrzańskich nie spowoduje w Niemczech nadmiernego spadku dochodu narodowego. Wyniesie on i tak, w przeliczeniu na 1 mieszkańca, ok. 735 RM rocznie (przy 50023 milionów RM ogólnego dochodu narodowego i przy 68 milionach ludności). (Według obliczeń ZAP).

Znany niemiecki publicysta Albert Norden, zamieścił w „Deutschlands Stimme", w połowie marca 1949 r., obszerny artykuł na temat stosunków polsko-niemieckich w rozwoju historycznym. Stwierdza on, że:

„Obecnie nadeszła pora, by wyzbyć się nareszcie tego uczucia wrogości wobec Polaków, które zatruwa jeszcze umysły tylu naszych rodaków, by skończyć z polityką przeszłości i przejąć granicę ustaloną przez cztery wielkie mocarstwa.

Należy nawiązać współpracę ekonomiczną, polityczną i gospodarczą, która przyśpieszy odbudowę obu krajów i będzie kamieniem węgielnym pokoju światowego.

*

Fakt istnienia niezaprzeczonych polskich uprawnień do ziem nadodrzańskich był znany oddawna historykom i politykom zachodu,

W pewnym stopniu wyrazem tego może być podana niżej mapa (rys. 5), którą zamieścił w 1890 r. w Bożonarodzeniowym Numerze czasopisma „Truth", Henri Labouchere, najbardziej zaufany angielskiego króla Edwarda VII-go brat z londyńskiej loży masońskiej.

W myśl oddawna ogólnie znanej i uprawianej zasady „Balance of Power" autor map zachował przy Niemczech t. zw. Prusy Wschodnie i głęboko na wschód sięgający klin śląski, groźny dla Polski i Czechosłowacji, zwłaszcza przy istnieniu, jak to z mapy widać, wielkiej „Republiki Austriackiej".

Północną i wschodnią granicę tego klina stanowi Odra, co, zdaniem niemieckiego geografa Geisler'a, nie jest słuszne, bo dzielenie Śląska na część wschodnią i zachodnią, zależnie od położenia wobec Odry — nie jest trafne. Geisler wprost twierdzi, że Śląsk jest niepodzielny.

Nie jest tu pozbawiony pewnej pikanterii fakt znalezienia kopii tej mapy właśnie w niemieckm tygodniku „Korallen" Nr. 11 z 28 maja 1944 r., wydanym w Berlinie SW68, „dla rozrywki, wiedzy i radości życia". (Rys. 2).

Dalszym objawem tej, w graficznych opracowaniach wyrażającej się, pamięci zachodnich sojuszników Polski o polskich uprawnieniach do ziem nadodrzańskich, jest, cytowana i przedrukowywana wielokrotnie przez Niemców w czasie II-ej Wojny Światowej, mapa, którą przedstawia rys. 3.

Mapa ta jest francuskim projektem układu granic państwowych w Europie po zwycięskiej wojnie z Niemcami.

Widzimy na niej dość znaczne różnice w porównaniu z mapą poprzednią (rys. 2). I tak: Prusy Wschodnie są zlikwidowane. Klin śląski poważnie skrócony. Zachowano z dużym odchyleniem linię Odry.

Czasopismo francuskie „L'Illustration" w numerze z 16 marca 1940 r. zamieściło na tytułowej karcie słynną już fotografię, przedstawiającą na tle wspomnianej mapy ówczesnego premiera Francji Reynaud'a, konferującego ze specjalnym pełnomocnikiem Roosevelt'a Sunner Welles'em i ambasadorem amerykańskim M. Murphy'm.

T. L. Carsten w pracy „Slavs in North — Eastern Germany", zamieszczonej w tomie XI „The Economic History Revies", dowodzi również słuszności ponownego przejęcia obszarów nadodrzańskich przez państwowość polską.

Jak dalece angielscy politycy znają uprawnienia Polski do granic na Odrze i Nysie dowodem tego mogą być, zarówno ich wypowiedzi na łamach prasy, jak też i publiczne debaty.

Nprz.: posłanka z Epping, Leach Manning (Labour Party) w czasie dyskusji w Izbie Gmin w dniu 23 stycznia 1948 r. powiedziała:

„Wiem, że możnaby powiedzieć, iż określenie tych granic miało być przedmiotem porozumienia podczas rokowań nad traktatami pokoju. Zawarcie traktatów pokoju było długo w zawieszeniu, a przez ten czas administrowanie tych terytoriów przez Polskę stało się faktem dokonanym. W obecnej chwili jest to de facto obszar polski, a sądzę, że gdybyśmy zapytali o to Prokuratora Królewskiego, to by powiedział, że jest to również obszar de jure polski. Był on pod tym względem bardzo kategoryczny i powiedział, że nie możemy tych granic nawet na konferencji pokojowej zmienić".

„Wzywam Szanownych Członków Izby do zachowania poczucia perspektywy i do brania rzeczy we właściwych proporcjach. Jeżeli tak postąpimy, to w stosunku do Polski będziemy domagali się, żeby Polakom przyznano to, do czego mają prawo i żeby te granice były ostatecznie potwierdzone na ich dobro".

„Pamiętając o tym, powinniśmy postanowić, że nie powinien naród polski być zdradzony odnośnie tego, co Szanowni Panowie z tej i z przeciwnej strony Izby uzgodnili w Jałcie i Poczdamie." (Tłum. ze „Zbioru Dokumentów" pod red. J. Makowskiego.)

Znajomość uprawnień Polski do obecnych jej zachodnich granic nie przeszkadza jednak Anglikom w popełnianiu dziwacznych, zdawałoby się, niezgodności. Naprzykład w numerze 6702 Volume 218) z 31 lipca 1948 r. londyńskiego czasopisma „*The Illustrated London News*" zamieszczono dwie mapy Niemiec i państw ościennych. Na pierwszej z nich zaznaczono, że nasze Ziemie Zachodnie są pod polską administracją. Na drugiej zaś mapce (opracowanej do pracy, zamieszczonej przez prof. Cyril'a Falla'a, p. t. „Aftermath of Mar: Yalta, Postdam, and Rights in Berlin") obszar radzieckiej strefy w Niemczech „powiększono" przez obdarzenie tą nazwą i n/Ziem Zachodnich.

Wypadków tego rodzaju możnaby przytoczyć bardzo wiele.

Zdarzają się jednak i wypadki, które można by określić mianem współpracy angielskiej z niemieckimi ugrupowaniami pokojowymi.

Tak np.:

„Die Weltbuehne", tygodnik redagowany przy wybitnym współudziale wdowy po pisarzu Maud Ossietzki'ej, zamieścił artykuł dziennikarza angielskiego, H. D. Douglas'a o Polsce dzisiejszej. Czytaliśmy tam, między innymi: „Szybki wzrost produkcji węgla i stali, rozpoczynające się w tym roku otwarcie żeglugi Odrą przez Szczecin dla eksportu węgla oraz importu rudy ze Szwecji, uczyni z Górnego Śląska jedno z głównych ognisk siły w Europie Wschodniej, podczas gdy Śląsk odgrywał dawniej tylko rolę ubogiego krewnego w stosunku do Zagłębia Ruhry".

„Die Weltbuehne" grupuje przy sobie wielu pisarzy takich, jak Erich Weinert, G. H. Theunissen, Carl Korn i Friedrich Luft, nie wahających się dotykać otwartych ran aktualnej rzeczywistości niemieckiej i dążących do „jasnego zdefiniowania pojęć". Demaskują oni wszelkie pozostałości hitleryzmu w życiu niemieckim.

Jak u Anglików, tak i u Amerykan znajomość uprawnień Polski do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej potwierdzić można szeregiem dokumentarnych wystąpień.

Prezydent Truman, wróciwszy z Niemiec po konferencji poczdamskiej, wystąpił przed mikrofonem w dniu 9 sierpnia 1945 r. Powiedział on wtedy w związku z postanowieniem konferencji berlińskiej, co następuje:

„Terytorium, które przejdzie pod zarząd Polaków, daje Polsce możliwość zapewnienia lepszych warunków życia swej ludności.

Ułatwi ono obronę granic między Polską a Niemcami. Zaludnienie przez Polaków doprowadzi do większego ujednolicenia narodu". To oświadczenie prezydenta Trumana było opublikowane w gazetach amerykańskich.

Jednak to obecnie b. dawne wystąpienie prezydenta Trumana, sądząc z wystąpień ministra Marshalla w kwietniu 1947 r. na posiedzeniu Rady Ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie, ustąpić musiało nowym metodom pracy

Zmienności stanowiska anglosaskiego wobec nowych granic zachodnich przeciwstawić można wielokrotnie manifestowaną stałość poglądów odpowiedzialnych przedstawicieli Związku Radzieckiego.

Zacytujemy tu tylko wypowiedzi W. M. Mołotowa, przedstawiciela Związku Radzieckiego na Konferencji Moskiewskiej w kwietniu 1947 r.

„W Poczdamie (od 17.—25.VII. i od 28. VII. — 2. VIII. 1945 r. była mowa nie o zwyczajnej kompensacji dla Polski na zachodzie za obszary, które ona przekazała Związkowi Radzieckiemu na wschodzie. To byłoby uproszczeniem sprawy".

„Na zachodzie Polska powróciła na swoje prastare ziemie, które niegdyś były kolebką Państwa Polskiego."

„Uchwała w sprawie zachodniej granicy Polski została powzięta po dwukrotnym rozpatrzeniu tej kwestii na konferencji trzech sojuszniczych rządów. Przed powzięciem tej uchwały w Poczdamie wysłuchano szczegółowej opinii rządu polskiego. Sprawa zachodnich granic Polski została dokładnie rozważona przez rządy Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, zanim powzięta była uchwała na konferencji poczdamskiej.

Konferencja poczdamska nie ograniczyła się do uchwały w sprawie ustalenia nowej polsko-niemieckiej granicy. Powzięła ona także uchwałę o wysiedleniu Niemców z Polski."

„Wszystko to świadczy o tym, że uchwała konferencji poczdamskiej w sprawie nowej zachodniej granicy Polski była uważana za ostateczną. Zgodnie z tym przedsiębrano środki, zmierzające do zaludnienia tych obszarów przez Polaków. *Nikomu nie może przyjść do głowy myśl, że wysiedlenie Niemców z tych obszarów było przyjęte, tylko w charakterze przejściowego eksperymentu.* Rządy, które powzięły te uchwały i wprowadziły ją w życie, nie mogły oczywiście, liczyć, że uchwała konferencji poczdamskiej będzie podlegała w przyszłości jakiejkolwiek rewizji. *Igrać z takimi sprawami nie wolno, nie mówiąc o tym, że to byłoby niedopuszczalnym okrucieństwem, nie tylko w stosunku do Polaków, ale i w stosunku do samych Niemców.*

Powinniśmy szanować nasze uchwały. Powinniśmy szanować wzięte na siebie zobowiązania. Można nie wątpić, że pracowity naród polski dobrze opanuje obszary przyłączone na zachodzie do Polski."

Dla uczynienia z Odry i Nysy Łużyckiej stałej granicy polsko - niemieckiej należy przy szczegółowych rozwiązaniach granicznych na nadchodzącej konferencji pokojowej z Niemcami wykluczyć wszelkie kompromisy w rodzaju b. Wolnego Miasta Gdańska.

W interesie bowiem pokoju ogólnoświatowego leży, by obecnie nad Odrą i Nysą Łużycką ustanowione zostały granice, noszące znamiona sprawiedliwości, logiki i trwałości.

JAN KOSTECKI

„Muss i' denn, muss i' denn..."

(BZ) Najwyższy sąd partyjny narodowych socjalistów wyrokował swego czasu w sprawie Ericha Kocha, stwierdzając, że były gauleiter nie ma „żadnego honoru ani sumienia". Ale te „wady" posiadał Erich Koch zawsze i być może dzięki nim doszedł w III Rzeszy do najwyższych godności. Erich Koch był bowiem nie tylko gauleiterem Prus Wschodnich, ale także — w czasie wojny — „komisarzem Rzeszy" dla Ukrainy, piastował zatem urzędy, które wymagały najwyższego braku honoru i sumienia.

Kiedy w r. 1945 odwróciła się karta, poznał naturalnie, jak wielu podobnych mu bohaterów narodowosocjalistycznych, co to trwoga. Przypadek przyszedł mu z pomocą i w ten sposób mógł rozgłosić, że Hitler wydał rozkaz zastrzelenia Kocha za tchórzostwo i że rozkaz ten wykonano. Łódź podwodna przeniosła go na zachód Niemiec, gdzie w Hasenmoor koło Kaltenkirchen (Hamburg) jako „pracownik rolny i major a. D. Rolf Berger" wiódł żywot spokojnego bizonalnego Niemca. Na wszelki jednak wypadek pod kapotą nosił zawsze z sobą zasłużoną już wielokrotnie narodowosocjalistyczną

Zdjęcie z albumu pamięci Kocha

pigułkę z trucizną. Propaganda, uprawiana przez okupanta w tej części Niemiec, tak bardzo jednak podobna była do propagandy, którą on sam przez wiele lat uprawiał, że zatracił poczucie rzeczywistości i zapomniał o należnej ostrożności. Brał udział w zgromadzeniach wysiedleńców, angażując się równocześnie po stronie tych, którzy zaczęli uprawiać ostrą propagandę antyradziecką. Tu jednak znienacka przyszło aresztowanie.

— Chyba nie zostanę wydany Rosji — zapytał z lękiem i ponurym przeczuciem.

— Tak jest, Herr Gauleiter — rzekł policjant niemiecki, który właśnie powrócił z Rosji z obozu jenieckiego. — Niech pan się nie boi, osądzą pana sprawiedliwie.

W tym momence jednak Erich Koch przypomniał sobie chyba niezliczone pociągi, wypchane trzema milionami płaczącymi ludzi, oderwanych brutalnie od rodzin od zagród i ojczyzny, które Komisarz Rzeszy dla Ukrainy stawiał do dyspozycji Adolfowi Hitlerowi. Może przypomniał sobie także zaraz o 2,5 milionach zamordowanych i zmarłych z wycieńczenia mieszkańców „powierzonej" mu przez Hitlera części zdobytego kraju. Może przypomniał sobie słowa, które wypowiedział na konferencji partyjnej w Berlinie, gdy czyniono mu zarzuty, że za mało sił z Ukrainy odprowadził w głąb Rzeszy. Powiedział wówczas, usprawiedliwiając się: „Możecie być pewni, że wyciągnąłem z Ukrainy ostatnie resztki". Nic dziwnego, że Erich Koch ma słuszne powody, że obawia się sądu, który w „jego stolicy" Równem być może, postanowi o dalszej jego przyszłości.

Nierówny rachunek z Polską — bo przecież Erich Koch panował także nad duszami polskich Mazurów i Warmiaków — to także powód nadzwyczajnej obawy, jaką Koch posiada w związku z wydaniem go Związkowi Radzieckiemu.

„Berliner Zeitung" do faktu tego dodaje, co następuje: „Naród nasz życzyć sobie musi wydania Kocha już z tego prostego względu, by narodom, które tyle dzięki nam wycierpiały, oraz nowoczesnym podżegaczom wojny pokazać wyraźnie, że raz na zawsze kończymy z faszyzmem i jego wstrętnymi przedstawicielami". Kwitujemy słowa te, jako dowód pamięci o lepszej pokojowej przyszłości.

Zamurowany Xiążę

(Dokończenie ze strony 1)

Jakież było to rozsądne, jasne spojrzenie?

Z gronostajowego płaszcza ku modlitwie złożone ręce. Palce są wąskie. Na jednym tylko jest pierścień. Koronki przy rękawach, żabot na pół pancerzu. Wstęga orderowa spada na pas, przy którym szpada.

Europejski jest ten książę, trochę do naszych królów saskich podobny, jest poważny i silny. Tak dynamiczny w nim wyraz, a niczym szczególnym się nie wyróżnił. Jakby poddał się małości szans, wynikłych z jego urodzenia. A może... czekał? Jak Gryfici pomorscy, lubił sztuki piękne. Zostały po nim bogate organy w Kamieńskiej Katedrze, ten nagrobek, którego był mecenasem i testament, rozdający skarby Gryfitów ich Uniwersytetowi w Gryfii, Wielkiemu Kurfürstowi brandenburskiemu oraz pomniejszym.

Młody rzeźbiarz, Andrzej Schlütter, uczeń Sapowskiego z Gdańska, kuł dla starzejącego się księcia bez ziszczeń ostatnie dzieło pamiątkowe rodu pomorskich mecenasów. Potężni herkulesi z maczugami w garściach dzierżą tarcze de Croy'ów i ostatnią, żywą wówczas, tarczę Gryfitów. Niedoświadczony rzeźbiarz ujął ich może zbyt przysadziście.

Ostatni to rekord artystyczny, który został po rodzie, co rządził Pomorzem może od polskiego Mieszka I — jak chcą jedni — a może dopiero od ks. Świętobora — jak wyobrażają sobie drudzy.

Cała świadomość końca rodu jest wyrażona w tym upamiętnieniu. Czarny i biały jest marmur tła i postaci, żałobnie czarno-biały.

Sam musiał sobie zamawiać książę niedziedziczący księstwa, nikt też nie mógł po nim zapewnić mu pamięci po zgonie. Sam więc kazał uwiecznić swoją twarz. Żaden z Gryfitów nie ma tak wspaniałego nagrobka!

... A jakby tylko przyklękł ten odmurowany książę. Zaraz może wstanie z przytwierdzającego zaklęcia marmurowej poduszki...

Nie ujrzałby już wtedy śladu, po wrogich swemu dziedzictwu, kurfürstach... JAROSŁAW ROGALA

Grobowiec ks. Ernesta-Bogusława de Croy Archatt

Rozmowy z polskimi marynistami (XXIII)

Poeci Wybrzeża

Pobieżny nawet przegląd dotychczasowych „rozmów" nasuwa jeden znamienny wniosek. Oto prawie cały nasz dorobek artystyczny i naukowy z dziedziny marynistyki reprezentują pisarze i artyści, których twórczość przypada głównie na okres międzywojenny. Nic dziwnego zatem, że pisarze ci wyrażają mimo woli, a czasem nawet zupełnie świadomie typową dla ówczesnego społeczeństwa postawę wobec wielu zagadnień morskich. Jaka jest ta postawa, z jakich warunków wyrosła i jak się odbiła w twórczości — tym zajmiemy się później przy ogólnym podsumowaniu ankiety „Odry".

Teraz — dla kontrastu — zapoznajmy się z poglądami młodych i *nowych* pisarzy Wybrzeża, których może trudno nazwać par exellance marynistami, ale którzy w swej twórczości uwzględniają szeroko morską tematykę. Wybór tych właśnie autorów jest może nieco przypadkowy, ale wydaje mi się, że bardzo charakterystyczny. Po pierwsze — są to pisarze jeszcze młodzi, którzy swój start artystyczny zaczynali już w nowym, *powojennym okresie*. Po drugie — związani są oni niewątpliwie dość silnie z Wybrzeżem, które w zmienionych warunkach ustrojowych i geograficznych nasuwa już inne *niż dawniej doświadczenia* i obserwacje. Po trzecie wreszcie poglądy ich na zagadnienie i funkcję literatury morskiej odbiegają wyraźnie od zapatrywań pisarzy z okresu międzywojennego, przy czym — rzecz bardzo charakterystyczna — ich poglądy na tę kwestię są na ogół bardzo zbliżone i podobne.

Oto pierwszy z nich, najmłodszy w tym gronie poetów:

FRANCISZEK FENIKOWSKI

W r. 1946 wydał wspólnie z Leszkiem Golińskim tom wierszy p. t. „*Odta szumi po polsku*". Jest naczelnym redaktorem „Rejsów", dodatku literacko-morskiego „Dziennika Bałtyckiego" i jednym z ruchliwszych literatów gdyńskich.

W jakim stopniu osiedlenie się na Wybrzeżu wpłynęło na jego zainteresowania marynistyczne?

— Właściwie — odpowiada mi na to Fenikowski — należałoby odwrócić to pytanie. Nie osiedlenie się na Wybrzeżu wpłynęło na moje zainteresowania morskie, lecz na odwrót zainteresowania tymi właśnie zagadnieniami pociągnęły mnie na Wybrzeże, a nie gdzie indziej. Niemal coroczne pobyty nad morzem były najsilniejszymi wrażeniami z czasów dzieciństwa i młodości i one to sprawiły, że przed wojną lepiej poznałem nasze ówczesne Wybrzeże aniżeli rodzinny Poznań — że zapisałem się potem do sekcji marynistycznej na studium polonistycznym prof. Pollaka na Uniwersytecie Poznańskim (w rezultacie czego napisałem pracę magisterską o „Motywach marynistycznych w poezji Mickiewicza") — one wreszcie stały się jednym z powodów mojego przeniesienia się do Gdyni.

— Czy uważa Pan termin „literatura marynistyczna" względnie „literatura morska" za właściwy? Czy podstawą podziału w literaturze nie powinny być raczej względy ideologiczne lub ściśle artystyczne?

— Bez wątpienia uznać należy w zasadzie podłoże ideologiczne i względy artystyczne za czynniki decydujące w literaturze. Pomimo to uważam — właśnie w naszych warunkach — termin „literatura morska" czy „literatura marynistyczna" za słuszny. Dopatruję się

Franciszek Fenikowski

w nim jak gdyby manifestu przeciwko naszemu wielowiekowemu odwracaniu się plecami do morza. Przecież Rejowskie odżegnywanie się od morza „bodaj tam nikt dobry nie bywał" — typowe dla naszego stosunku do morza przez tyle wieków — pozostało aktualne nawet w okresie naszego dwudziestolecia. Pomimo naszych ówczesnych wysiłków zbliżenia społeczeństwa do zagadnień morskich przeciętny obywatel z głębi lądu solidaryzował się z wyśmianym przez Tuwima „Patriotą", wygłaszającym następujące credo:

A niechże się Miss Gdynia
Sto razy wyameryczy,
Mnie kozienicka świnia
Serdeczniej na rynku kwiczy.

Sądzę, że z czasem, gdy morze stanie się w naszej literaturze równie naturalnym składnikiem tworzywa artystycznego, jak ląd i jego sprawy — termin „literatura marynistyczna" sam przez się odpadnie.

— Jakie rodzaje prac literackich interesują Pana najbardziej?

— Liryka, nowela i dramat. Tematycznie większość z nich związana jest z morzem. Wiersze morskie zebrałem w tomiku p. t. „Oddycham morzem". Ma je wydać Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu, jak również moją pracę „Mickiewicz odkrywcą morza". Napisałem również kilka nowel nadmorskich, które chciałbym wydać pod tytułem „Scherzo H-mol". Obecnie pracuję nad sztuką o Mieszce I. Jest ona również związana z tematyką morską. Jak bowiem stwierdziłem po przestudiowaniu odnośnej literatury, morze, a przede wszystkim bogate porty u ujścia Odry, były motorem niemal wszystkich poczynań tego pierwszego władcy historycznego. Dlatego chcę przedstawić Mieszkę na tle barwnego życia obyczajowego jako inicjatora polskiej myśli bałtyckiej. Oto wszystko, co mogę na razie powiedzieć o swoich pracach.

A oto drugi poeta Wybrzeża:

EDWARD FISZER.

Pisał już przed drugą wojną światową, ale swoją właściwą „karierę poetycką" zaczął dopiero w obozie wojskowym, gdzie zasłynął jako autor piosenek, m. in. popularnej w kraju piosenki wojskowej „Ania" i wierszy lirycznych oraz kilku sztuk, napisanych dla jenieckiego teatru. Właściwy jednak rozwój jego niewątpliwego talentu poetyckiego przypada dopiero na okres powojenny. Lirykę Fiszera cechuje coraz dojrzalsze skupienie i oszczędność wyrazu poetyckiego oraz spoczłeczne widzenie rzeczywistości, dalekie już od estetyzującej postawy obozowej. Na pytanie, jaki jest jego pogląd na tak zwaną „literaturę marynistyczną" — odpowiada z właściwym mu sarkazmem.

— Jestem przeciwnikiem naklejania literaturze etykietek w rodzaju „marynistyczna", „obozowa", „wiejska", „młodzieżowa" itp. Podobne podziały są zazwyczaj bodźcem do błędnych, niesprawiedliwych ocen. Dość często krytycy pobłażliwie chwalą słabą książkę dlatego tylko, że utwór „mimo wad" stanowi cenny wkład... do marynistyki. I na odwrót rzecz wartościowa uchodzi powszechnej uwadze, ponieważ specyficzne określenie „marynistyka" odstrasza wszystkich, którzy po prostu chcą dobrej literatury. Przecież Conrada nie nazwiemy tylko „wielkim marynistą", bo Conrad był przede wszystkim wielkim pisarzem. Mam wrażenie, że kiedy zadomowimy się na Bałtyku, tak, jak na Mazowszu czy Kujawach, termin „marynistyczny" zniknie ze słownictwa polskiej krytyki literackiej.

— Na czym, według Pana, polega zasadnicza różnica między przedwojenną a obecną liryką marynistyczną?

— Przedwojenna, powiedzmy międzywojenna, liryka o motywach morskich cierpiała na dziecięcą chorobę morskości (nie morską): morze — egzotyka, morze — krajobraz, morze — przygoda, morze — historia i wreszcie najgroźniejszy objaw: morze od święta! Każdy obowiązkowo kochał morze latem. Synowie rolników przywdziewali nagle skóry wilków morskich i czuli

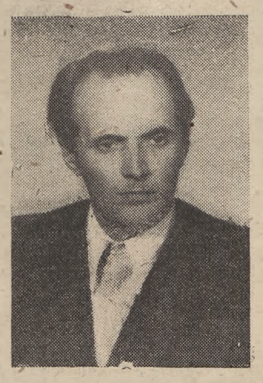

Edward Fiszer

się Kolumbami na odcinku Hel—Gdynia. Tymczasem nikomu ani się śniło nazwać poetą morza autora „Sonetów krymskich" lub Słowackiego, który w krótkim satyrycznym poemacie o podróży parowcem na Wschód, dostrzegł to, czego nie zauważyli poeci-letnicy na plaskach Jastarni — dostrzegł społeczność morską, kapitana statku, majtków, podróżnych I i III klasy. Myślę, że dzisiejsza liryka powinna przede wszystkim wyrazić dzień powszedni ludzi morza. Tych mrukliwych, szorstkich, skąpych w mowie bohaterów sztormów jesiennych i zimowych, pochmurny urok małych portów, skąd wypływają rybacy na dalekie połowy itd. Marynarze, piloci, robotnicy portowi, stoczniowcy — oto bogate tematy dla poetów. Krajobraz morski winien być tłem dla ludzkiej sylwetki, nie zauważonej dotąd przez naszych pejzażystów słowa. Dotąd wyolbrzymia się i rozdmuchuje nasze nikłe — co tu ukrywać — tradycje historyczne w żegludze, gdy tymczasem teraz na Wybrzeżu z dnia na dzień rośnie surowiec wspaniałych wydarzeń i postaci. Moim zdaniem jeszcze za wcześnie mówić o różnicy między przedwojenną a obecną liryką morza.

— Podjęliście u was, na Wybrzeżu gdańsko-gdyńskim, zagadnienie morskiej pieśni masowej.

— To brzmi zbyt szumnie. Nie zwoływano konferencji, nie uchwalono rezolucji. Po prostu najpierw autorzy gdyńscy, później gdańscy zrozumieli, że dotychczasowa „bez-

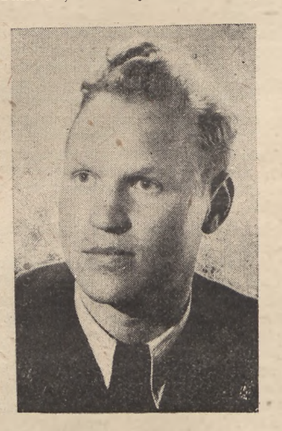

Tymoteusz Karpowicz

brzeżna dal na grzywach fal" nie wyczerpuje piosenkarskich motywów Wybrzeża. Wyszło zatem kilka zeszytów z kompozycjami B. Lewandowskiego do słów Janusza Stępowskiego i Jerzego i Stanisławy Fleszarów. Ostatnio Rozgłośnia Gdańska nadała w programie wymiennym kilka audycji pt. „Piosenka Wybrzeża". Nowe teksty mówią o portach, o stoczniowcach, rybakach, trymerach. Ale kompozytorzy: Wodiczko i Jabłoński nie kwapią się jakoś z wydaniem nut — być może lekceważą sobie ten rodzaj twórczości. Mimo to piosenki Rozgłośni śpiewają przy różnych okazjach studenci i rewelersi, chór stoczniowców, refreniści w orkiestrach rozrywkowych. Niedawno dowiedziałem się, że np. piosenka „Brzegiem, brzegiem" dotarła z ust do ust aż do Lublina. „ZAIKS" pewnie tego nie notuje, ale autorzy i tak się cieszą. Bo stara to prawda, że piosenka, wbrew wyrokom konkursowych sądów, dopiero wtedy żyje, kiedy jako anonimowa staje się własnością wszystkich. Myślę, że piosenek morskich będzie coraz więcej. Nie przesadzajmy jednak z ilością. Dobra piosenka, to jakby „fuchs na torze". Trudniej ją stworzyć niż wiersz. Bywa tak, że zdarza się raz na kilka lat.

— Czy przygotował Pan do druku jakieś prace na tematy morskie?

— Kłopotliwe pytanie. Osiadłem na Wybrzeżu w 1946 roku, po sześciu latach Oflagu i prawie rocznej służbie w Centralnym Domu Żołnierza w Warszawie. Jako przysiegłego prowincjusza przyciągnął mnie urok cichej Oliwy, a zarazem oszołomiła najruchliwsza droga w Polsce między Gdynią i Gdańskiem. Od trzech lat pracuję w redakcji programowej Rozgłośni Gdańskiej. Wiecie z własnego radiowego doświadczenia, że mikrofon to smok nienasycony — trzeba ciągle karmić bestię. W ten sposób rozmieniają się na drobne wszystkie większe pomysły. W Oflagu pisałem sztuki całospektaklowe. Nawet je wystawiali (zaginęły — może i słusznie). Teraz stać mnie zaledwie na ulotne utwory i to rzadko. Mam przygotowany do druku tom wierszy — część z Oflagu, część z Wybrzeża. Poczekam jeszcze rok i mam nadzieję, że uskłada się cały nadmorski tomik. Ponieważ moje wiersze nie odznaczają się rewelacyjną klasą poetycką, więc nie dobijam się zbytnio do wydawców. Wydać wiersze po to, żeby usychały na półkach — to chyba rozrzutność. Chcę napisać cykl opowiadań o ludziach Wybrzeża. Interesują mnie zwłaszcza pierwsze miesiące odbudowy portów, gdy roiło się tutaj od korsarzy i odkrywców. Myślę też o komedii. Pochodzę jednak z lądu, z ziemi kaliskiej, mam więc wątpliwości czy mogę uczciwie mówić o sprawach, z którymi spotkałem się dopiero przed trzema laty.

Fenikowski i Fiszer — to poeci wschodniego, gdańsko-gdyńskiego Wybrzeża. Zachodnie szczecińskie — reprezentują w tej chwili: Karpowicz Tymoteusz i Wirpsza Witold. Z nich dwóch największe nadzieje budzi:

TYMOTEUSZ KARPOWICZ.

Świadczą o tym dwie jego książki: „*Legendy pomorskie*", wydane w roku 1947 i zbiór poezji pt. „*Żywe wymiary*", wyd. w roku 1948. Już „Legendy", obejmujące zasięgiem tematycznym świat baśni zachodnio-pomorskich, z natury rzeczy wiązały się geograficznie z Wybrzeżem i morzem. Dopiero jednak w „Żywych wymiarach" tematyka morska znalazła nie tylko pogłębienie, ale i programowe niemal wyzwanie w cyklu pt. „Ścieżki morskie".

W jakim stopniu osiedlenie się na Wybrzeżu wpłynęło na jego zainteresowania zagadnieniami morskimi?

— Właściwie — mówi mi o tym Karpowicz — do czasu osiedlenia się na Wybrzeżu w moim życiu nie istniał żaden problem morski. Był mi on zupełnie obcy i nie leżał w kręgu moich zainteresowań ani wyobrażeń. Żyjąc wśród ciepłych pagórków Wileńszczyzny — myślałem o górach. Kiedy po raz pierwszy przed wojną ujrzałem morze, byłem nim raczej przygnębiony niż zachwycony. Przypominam sobie nawet dlaczego. Morze wydało mi się żywiołem, który oddzielał mnie od świata, a nie łączył.

— A jak powstały „Ścieżki morskie"?

— Kiedy w roku 1946 zetknąłem się znów z morzem — dawne, niemal dziecinne uprzedzenia, już nie istniały. Ale nie byłem również zdolny do łatwych zachwytów. Morze stało się sprawą cyfr i ludzi. Ten chłodny stosunek do żywiołu opiewanego przez poetów zawstydza mnie trochę, tym bardziej, że wówczas zaczął się „kurs na morze". Ale przełamałem w sobie ów lądowy opór — zacząłem wprowadzać do swoich utworów motywy morskie. I w tym zestawieniu przekonałem się dopiero, że właściwie morze jest stokroć piękniejsze od odbicia w moich wypocinach. Od tej chwili przestałem o nim pisać, a więcej je lubić i cenić.

— A jaki jest w tej chwili twój stosunek do literatury morskiej?

— Polskiej? Raczej negatywny. Są to jedynie, jak mi się wydaje, słabe próby, usprawiedliwione jednak wiekowymi zaniedbaniami sprawy morza. Błąd w nich przede wszystkim jeden, ale zasadniczy: nie dostrzega się tu wcale, albo prawie wcale — *ludzi morza*. Tę złą passę, jak wiesz, staramy się przełamać. Jedną z prób przybliżenia nowych zagadnień morza są np. wycieczki literatów na bliższe i dalsze rejsy. Próby te, jak dotychczas, nie dały jednak większych rezultatów i przypuszczam, że jeszcze długo ich nie dadzą. Trudno bowiem bez dłuższego przeszkolenia zrobić z piechura lotnika. Należy więc raczej szukać piszących wśród prawdziwych ludzi morza, gdyż jak uczy historia (Conrad, Lott, Farrere, Nowikow-Priboj, London) tylko tacy mogą stworzyć wartościową literaturę. Nic tu nie pomoże pakowanie gwałtem Gałczyńskiego na tankowiec. Otrzymamy jeszcze jeden wiersz wodno-Nataliowy i to wszystko. Warto tę sprawę przemyśleć.

Wreszcie ostatni z poetów Wybrzeża

WITOLD WIRPSZA

wykazuje może najmniej entuzjazmu dla zagadnień morskich, mimo że cały okres międzywojenny przebywał nad morzem, a w Szczecinie osiedlił się już w roku 1947. Wirpsza odbył już przed wojną kilka podróży morskich do krajów skandynawskich oraz do Francji, niedawno zaś otrzymał stypendium na rejs atlantycki na Morze Karaibskie. Jego pierwszy tomik pt. „*Stocznia*", który ma się ukazać wkrótce nakładem „Czytelnika", jest poświęcony tematycznie zagadnieniom portowo-morskim.

— Zasadniczym błędem — mówi Wirpsza — popełnianym przez pisarzy, atakujących tematykę, morską, jak i przez te czynniki administracji państwowej, którym zależy na powstaniu polskiej marynistyki, jest chęć przeciwstawienia „kultury morskiej" — „kulturze lądowej". Rezultatem tego jest fakt, że w utworach o tej tematyce góruje morze nad człowiekiem. Jest to ten sam wynik, co w tak zwanej literaturze chłopskiej, gdy wydawało się wielu pisarzom, miary europejskiej nawet, że psychika chłopa jest kształtowana np. przez rytm nawracających pór roku. Otrzymaliśmy wtedy obraz sfałszowany, nie historyczny i nie humanistyczny. Tendencja ta, która została już przez większość pisarzy „chłopskich" przezwyciężona, pokutuje jeszcze wciąż u pisarzy „morskich". Morski hurrapatriotyzm, o ile nie zostanie w porę zlikwidowany, może nam w przyszłości na obie łopatki rozłożyć naszą morską literaturę.

Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pisarz zabierając się do pisania utworu o tematyce morskiej, będzie

Witold Wirpsza

temat ten traktował tak, jak się traktuje każdy inny temat. Nie należy się w egzaltowany sposób troszczyć o przyszłość naszej marynistyki. Jeśli będziemy umieli na morzu pracować, będziemy mieli z pewnością literaturę morską, tak jak mamy literaturę opartą na tematyce wiejskiej czy górniczej.

— Jak powstała „Stocznia"?

— „Stocznię" napisałem latem i jesienią 1948 roku na zamówienie Ministerstwa Żeglugi. Inicjatywa wyszła z Biura Ministra dla Spraw Informacji i Prasy. Ministerstwo zaproponowało mi nieobowiązujące zwiedzenie Stoczni Gdańskiej z tym, że napiszę coś o niej, jeżeli temat mnie poruszy. W rezultacie powstał poemat. Nie zamierzam i nigdy nie zamierzałem poświęcać się jedynie tematyce morskiej, gdyż traktuję ją tak jak każdą inną. Obecnie np. przygotowuję materiały do poematu o „Zecerze, który zdobywał Ziemie Odzyskane". Będzie to historia zecera, który brał udział w walkach o Ziemie Odzyskane w szeregach I-szej Armii Polskiej jako pracownik zespołu gazety frontowej i który się potem na tych ziemiach osiedlił.

Rozmowy przeprowadził

STANISŁAW TELEGA.

Encyklopedia „Odry"

Zwada pazia

Götz von Berlichingen urodził się w 1480 r. z rycerskiej rodziny w Wirtembergii. W młodości był raubrittrem, później walczył pod Karolem V przeciwko Turkom i Francji. Umarł we własnym zamku Hornberg w r. 1562. Pamiętniki, które zostawił, natchnęły Goethego do napisania swojej pierwszej sztuki.

Poniższy urywek z pamiętników zawiera interesujące momenty, jeżeli chodzi o relacje polsko-niemieckie na odcinku życia towarzyskiego, albo raczej dworskiego. Cała zwada opisana przez Götza von Berlichingen ma przedziwny charakter zajścia na tle narodowościowym: Götz nigdzie nie wymienia nazwiska tamtego, jak gdyby jedynie ważnym szczegółem było to, że jest Polakiem, chociaż podaje nazwiska innych osób występujących w opowiadaniu — Weit von Lentersheim, książę Georg, pan Paul von Absberg. Zarówno gwałtowna reakcja Polaka na gest pazia, jak wystąpienie Götza von Berlichingen dowodzą, że sytuacja między przygodnymi (u stołu) sąsiadami była od początku naprężona, skoro byle pretekst wystarczył do krwawego incydentu. Ale najbardziej pikantnym, że się tak wyrażę, szczegółem w niżej podanym epizodzie jest rola markgrafini „królewny", jak ją nazywa Götz von Berlichingen, która nie chciała się uspokoić dopóty, dopóki stary markgraf nie przyrzekł jej, że paź zostanie wrzucony do baszty.

Ową „królewną", żoną markgrafa na Ansbach tak namiętnie stającą w obronie Polaka, który zapewne był jej gościem, jest... córką króla polskiego, Kazimierza Jagiellończyka.

Wychowywałem się jako paź w domu markgrafa na Ansbach, któremu, razem z innymi paziami, usługiwałem przy stole. Pewnego razu zdarzyło się, że siedziałem przy stole obok pewnego Polaka, który miał włosy polakierowane białkiem. Przypadkiem miałem na sobie owego dnia długi płaszcz, o kroju zagranicznym, który kazał zrobić dla mnie w Namur pan Weit von Lentersheim, tak, że gdy zerwałem się z miejsca, połą mojego płaszcza popsułem piękną fryzurę Polaka, za co on cisnął we mnie nożem od chleba, ale mnie nie trafił. Bardzo mnie to rozgniewało i nie bez przyczyny, a że miałem przy sobie dwa ostrza, krótkie i długie, rzuciłem w niego tym krótszym i uderzyłem go w głowę. Pomimo tego zajścia pełniłem dalej moją służbę i zostałem na noc w zamku. Nazajutrz rano Markgraf — jako że był bardzo bogobojnym księciem — poszedł wysłuchać mszy w kościele parafialnym. Po nabożeństwie wróciliśmy do zamku i wtedy marszałek dworu kazał zamknąć za mną drzwi i powiedział, że jestem uwięziony. Poprosiłem go, ażeby mnie puścił, bo muszę wpierw zamienić parę słów z młodymi książętami, przy tym nie okazałem zbytniej uprzejmości w rozmowie z marszałkiem. Ale ten dobry człowiek miał więcej rozumu ode mnie i puścił mnie do nich, bo zaiste, gdyby był położył rękę na mnie, z pewnością byłbym się bronił i popadł przez to w nowe tarapaty. Poszedłem więc na górę do książąt i opowiedziałem całe zdarzenie z marszałkiem dworu i Polakiem.

Właśnie w tym czasie mieli zejść na dół, na poranny posiłek; więc poprosili mnie, ażebym poczekał, a gdyby ktoś wszedł, miałem wejść do ich komnaty i schować się w wewnętrznej alkowie i zamknąć drzwi od środka. Zrobiłem jak sobie życzyli i czekałem dopóki książęta nie wrócili od stołu i donieśli mi, że wstawiali sę za mną u markgrafa, ich ojca, i królewny — ich matki. Prosili więc, by darowano mi karę za zajście z tym Polakiem, ale nic nie wskórali i stary markgraf nie mógł dojść ze swoją panią do porozumienia, ani młodzi książęta nie znaleźli łaski w oczach matki, dopóki markgraf nie przyrzekł jej, że zostanę wrzucony do baszty.

I młodzi książęta prosili, ażebym nie stawiał oporu, gdyż w żadnym wypadku nie zostawią mnie tam dłużej, jak kwadrans. Lecz ja odpowiedziałem: — Za co mam iść do baszty? — skoro Polak pierwszy mnie obraził? — Więc oni jeszcze raz mnie zapewnili, że nie ścierpią tego, abym miał tam przesiedzieć więcej czasu jak ćwierć godziny. Tak więc dałem się przekonać i pozwoliłem się dobrowolnie zamknąć. Książę Georg dał mi swój płaszcz aksamitny, podbity sobolami i kunami, abym miał się czym przykryć, ale ja zapytałem: — Na co mi on potrzebny? Jeżeli się na niego położę, mogę trafić równie dobrze na czyste, jak i na brudne miejsce, a skoro moja pokuta ma trwać tak krótko, spokojnie mogę pójść do baszty bez płaszcza. Książęta dotrzymali swojego słowa, gdyż przeleżałem w lochu zaledwie kwadrans, kiedy przyszedł mój dzielny kapitan pan Paul von Absberg i mnie wypuścił, przy czym prosił mnie, ażebym mu raz jeszcze całą sprawę opowiedział. Potem szlachetny ten rycerz zaprowadził mnie przed Radę, gdzie się za mną wstawił i starał mnie uniewinnić, tak, że wszyscy panowie i szlachetnie urodzeni paziowie, którzy w owym czasie byli na dworze markgrafa w liczbie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu, stanęli po mojej stronie. Pan Paul von Absberg gwałtownie się domagał, ażeby Polaka również zamknąć w baszcie, ale tego już nie zdołał osiągnąć.

Przetłumaczyła z „Life in the Midelle Ages" G. G. Coulton'a Tom III, i podała

JADWIGA ŻYLIŃSKA

Mały przegląd mickiewiczowski

W związku z uroczystościami, związanymi ze 150-leciem urodzin Adama Mickiewicza, organizowanymi zagranicą, odbyły się w kulturalnym świecie liczne manifestacje ku czci nie tylko Wieszcza, ale i celem podkreślenia przyjaźni, łączącej Polskę z jej słowiańskimi sąsiadami.

Staraniem Miejskiej Rady Narodowej oraz Towarzystwa Przyjaźni Czesko - Polskiej w Karlovych Varach, — tym uroczym uzdrowisku braterskiej Czechosłowacji, — odbyło się w końcu ubiegłego roku uroczyste odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza. Uroczystość ta zbiegła się z aktem przemianowania jednego z domów kuracyjnych na dom pod nazwą „Mickiewicza" — tu bowiem zatrzymał się poeta w roku 1829 podczas swego pobytu w Czechosłowacji.

Odsłonięcie tego pomnika nie jest dla Karlovych Var faktem nowym, jest raczej przywróceniem poecie odebranej mu przez Niemców godności. Popiersie Mickiewicza bowiem znajdowało się w Karlovych Varach jeszcze przed rokiem 1938, to jest przed momentem zagarnięcia przez Hitlera Czechosłowacji Zachodniej wraz z jej wspaniałymi uzdrowiskami. Na skutek wrogiej i szowinistycznej polityki faszystowskich Niemiec, systematycznie niszczącej wszelkie ślady słowiańskie, pomnik największego poety polskiego został usunięty i tylko niewielkie wzniesienie ziemi i mały granitowy słupek przypominał czeskim mieszkańcom Karlovych Var o tym, że na tym miejscu stało popiersie polskiego Wieszcza.

Obecnie, jak powiedzieliśmy, staraniem T-wa Przyjaźni Czesko - Polskiej (pod przewodnictwem doktora Josefa Noska) oraz przy poparciu władz miejskich, pomnik stanął na nowo. Brązu dostarczyło T-wo Przyjaźni Polsko - Czeskiej w Katowicach. Autorem pomnika jest p. Slava Verner.

Wobec rozpoczynającego się sezonu wiosennego w Karlovych Varach oraz biorąc pod uwagę rozwijanie się przyjaźni, łączącej nasze dwa bratnie narody, należy się spodziewać wzmożenia ruchu turystycznego i wypoczynkowego z Polski do tego pięknego i naprawdę niezastąpionego uzdrowiska Zachodniej Czechosłowacji. I napewno pomnik Mickiewicza, stojący w jednym z najbardziej uroczych zakątków miasta, w cienistej kasztanowej alei nad cicho szemrzącą rzeczką Teplą, w pobliżu jednego z najpiękniejszych hoteli uzdrowiska — Richmondu — stanie się ulubionym celem spacerów naszych rodaków.

HELENA BYCHOWSKA.

Pomnik Adama Mickiewicza w Karlowych Warach

Felieton literacki

STANISŁAW STĘPOWSKI

Lato na Krymie

Pod koniec*) roku szkolnego (1895) zachorowałem na śledzionę i wątrobę. Osłabłem, przeleżałem kilka tygodni, lekarze kazali mi przerwać naukę i wysłali na Krym. Zostałem tedy w piątej klasie na drugi rok. Na Krym odwiózł mnie ojciec i umieścił w Bałakławie w willi Zygmunta Skirmunta, którą on nabył dla swej żony rzeźbiarki. Żona ta już nie żyła i w willi był pensjonat, którym zarządzał p. Łada z córką Marceliną. Była to postać arcy-malownicza: kusy i kuso ubrany, z twarzą jakby zdziwioną i ustami jakby złożonymi do gwizdnięcia, ten zbankrutowany szlagon i materiał raczej na Podfilipskiego, pieczeniarza i bawidamka niż na administratora, łgał o swej świetnej przeszłości i bajał o swych wysokich koligacjach. W butach obu nóg miał powycinane nad palcami okrągłe dziury na odciski.

Zostawił mnie ojciec samego pod opieką tych dwojga Ładów, a żebym się nie nudził, przysłał mi za poradą tegoż Łady z Odesy dubeltówkę 16 kalibru ptaszówkę, jako że jesienią podczas ciągu ptactwa są tu znakomite polowania. Istotnie nudy tu były prawdziwie lecznicze. Spacery do ruin zamku genueńskiego nad wejściem do zatoki, opisane w „Sonetach krymskich", prędko mi zbrzydły, góry były nagie a doliny spalone od słońca i zasypane drobnymi kamieniami. Miasteczko nad zatoką i brudne, zamieszkane przez samych Greków, żyjących z rybołówstwa i — jak się później przekonałem — z mordowania przelotnego ptactwa, nie budziło ciekawości. Jedynie jeszcze przemawiały do wyobraźni wycieczki do oddalonego o 12 klm Sewastopola byłą szosą wojenną ze śladami sprzed 30 lat w postaci piramid szkła i puszek z angielskich napojów i konserw.

Dopiero sezon winogronowy wprowadził pewną rozmaitość do monotonnego trybu życia. Najpierw dojrzał gatunek Chasselas, znakomity, bez pestek, o bardzo delikatnej skórce, dlatego nie nadający się do przewożenia. O świcie przynoszono z winnic kosze z winogronami i jadło się je dzień cały według wagi, zwiększając ilość co parę dni; doszedłem do 22 funtów dziennie, ale już tylko piłem sok wyciśnięty, gdyż język i podniebienie miałem obolałe. Następny gatunek był Pedro Ximenes.

Wkrótce nadeszła pora polowań. Nie miałem wyżła, poznajomił mnie tedy p. Łada z Grekiem Manulim, który żył z myśliwstwa i miał psa Baca, rudego setera. Umowa między nami stanęła, że kiedy Bac robi stójkę, Manuli próbuje zabić przepiórkę kamieniem; gdy chybił i przepiórka wzleci, mój strzał jest pierwszy, a gdybym chybił, wtedy on poprawi — a to już bez pudła! Strzelaliśmy półnabojami. Przepiórki siedziały w dolinach gęsto, pies wystawiał niemal co parę kroków, siedziały biedne twardo, odpoczywając i nabierają sił do lotu nad morzem. W spalonej i wydeptanej przez owce trawie pomiędzy kamieniami widać je było przed psem. Przynosiliśmy do domu tej zwierzyny dwie spore torby siatkowe, które zabierał Manuli, ja zaś zostawiałem sobie kilka sztuk do stołu. Wyśmienite było jedzenie, obrośnięte były bowiem tłuszczem i pieczono je na grzance we własnym tłuszczu. One i winogrona stanowiły wyłącznie moje codzienne pożywienie. Grek zaś dwa razy w tygodniu w dni, kiedy zawijał do Sewastopola statek pasażerski kursujący między Jałtą a Odesą, wiózł naładowaną przepiórkami arbę i sprzedawał na statek po 5 kopiejek sztuka.

Upały były straszliwe, toteż wychodziliśmy o świcie w bieliźnie tylko i kiedy słońce zaczynało przypiekać i pies z wywalonym językiem bałwaniał, spoceni i obładowani zdobyczą szliśmy do którejś z pobliskich winnic, gdzie za niewielką opłatą wpuszczano nas do środka i wolno było jeść winogrona dowoli. Kładliśmy się zwykle na wznak z głową wsuniętą w krzak winorośli, gdzie grona zwisały do cienistego środką. Rozkoszny był to odpoczynek, po którym wracaliśmy do domu na obiad. Z czasem zaprzyjaźniłem się z rodziną Karaimów Rofe i chodziłem już sam do ich winnicy na młode fermentujące wino, które smakowało jak musujący szampan.

W pensjonacie towarzystwo było dla mnie nieciekawe. Schodziliśmy się na poobiednie siesty do obszernej sali, gdzie były różne gry i stał fortepian, na którym panie grzmociły walce. Zapamiętałem Fredrów, siostrę i brata, starą pannę Radlińską oraz młodą pannę K., bladą z zamglonymi oczyma, która się zakochała we mnie. Wtedy to po raz pierwszy poznałem straszną niedolę być kochanym bez wzajemności — jest to może jeszcze większa męka, niż samemu kochać bez wzajemności. Jeśli nie można uciec i skryć się dokądkolwiek, wtedy litość i zniecierpliwienie przeistaczają się w nienawiść.

Jak meteor zjawiła się na czas krótki pani Mężyńska, piękna wdowa, bogata, strojna, w stylu George Sand. Przyjechała ze swego majątku na Krymie postrzelać do delfinów. Jeździła łodzią w morze i z rewolweru strzelała do wyskakujących z fal delfinów. Parę razy brała mnie na te łowy i gdyby nie była wkrótce odjechała, byłbym się w niej tak samo głupio zadurzył, jak K. we mnie. To była drapieżna lwica i miłość jej musiała być okrutna, jak tej diablicy z noweli Turgeniewa „Wiosenne wody".

Nie pamiętam, z czyjej inicjatywy urządziliśmy wycieczkę do dawnej stolicy chanów Bachczyseraju. Było nas pięcioro: 3 panie i 2 mężczyzn. Dojechaliśmy końmi do Inkiermanu pod Sewastopolem, gdzie nad rzeką Czarną zwiedziliśmy w dawnych kamieniołomach rzymskich klasztor prawosławny z wykutymi w prostopadłej ścianie ciosowej celami. Czekając na małej stacyjce na nocny pociąg, zatruliśmy się sardynkami i wszyscy dostaliśmy boleści, a nazajutrz w Bachczyseraju, po rannej czarnej kawie tureckiej, wszyscy naraz w kawiarni uczuliśmy wolę bożą i rozbiegliśmy się w różne strony, a że to wschodnie miasto posiadało jedną tylko ulicę, ale żadnych urządzeń, do których król piechotą chodzi, tedy każde z nas szukało schronienia za innym węgłem, chowając się nie tyle od oczu Tatarów, co od oczu towarzyszów podróży. Biedna panna K., jako zakochana, najsroższą miała mękę.

Oczywiście byliśmy w pałacu, widzieliśmy puste haremy, słynną fontannę z kapiącymi jak łzy kroplami, cmentarz w podwórzu — wszystko to opuszczone i z dawnego przepychu odarte. W tym samym wąwozie co Bachczyseraj jest wjazd do umarłego miasta Czufut-Kale, położonego na stromym urwisku, otoczonym dokoła przepaścią. Wchodzi się jedyną bramą, ulice wykute w skale, domy z szarego ciosowego kamienia w ruinie, pośrodku tylko stoi cała świątynia karaimska z jedynym żywym mieszkańcem — starym stróżem. Wchodzimy do niej boso jak do meczetu, stróż pokazuje w oszklonej szafie puchar złocony, dar carycy Katarzyny, ofiarowany zapewne po spotkaniu w Kaniowie ze Stanisławem Augustem.

W rezultacie tej kilkudniowej wycieczki pozostało mi smutne wspomnienie kraju opuszczonego, zamarłego, o leniwej i nieruchawej ludności tatarskiej, przesuwającej się na skrzypiących żałośnie arbach z monotonną jękliwą piosenką; dalej po miastach handlarze greccy, również leniwi i nie spieszący się, ale sprytni wyzyskiwacze, a nad tym sennym i tak bogatym od natury światem — bezceremonialny najeźdźca czynownik, urzędujący łupieżca lub bawiący na urlopie dla klimatu wałkoń.

Na Krymie prócz zdrowia zdobyłem jeszcze wiedzę o tym, dlaczego niszczeją i znikają niektóre gatunki przelotnego ptactwa. Tępi je człowiek na morskich wybrzeżach, gdy znużone lotem, ciężko dysząc, spoczywają bezsilne i nabierają sił do ostatecznego długiego przelotu przez morze. I ja brałem udział w tej dzikiej zabawie właśnie dla zabawy, z nudów, a nie z potrzeby. Odrzuciło mnie wtedy od zabijania ptaków raz na zawsze, kiedy pod koniec mojego pobytu na Krymie zobaczyłem ciąg drobi. Jest to ptak stepowy podobny do dużego indyka, ze srebrzystą piersią i bokobrodami, bardzo ostrożny, nie dający się ani podejść, ani podjechać. Późną jesienią ciągną z północy, wypoczywają na stepowej części Krymu, potem wznoszą się wysoko i lecą na południe ku morzu. Cała ludność Bałakławy przygotowywała się do tego przelotu: na wierzchołkach gór (Jajła) ciągnących się wzdłuż morskiego brzegu rozstawione były czaty, mające sygnalizować początek przelotu. Na dany znak, co żyło w miasteczku — mężczyźni, kobiety, dzieci — uzbrojeni w drągi, strzelby, widły, biegło na szczyty górskie niezbyt zresztą wysokie, kryło się poza głazy i skały i zamierało w oczekiwaniu. Dropie leciały bez porządku po kilka nad stepem wysoko, nad górami zaś tak nisko, że prawie ocierały się

Ruch wydawniczy

Nad żółtą rzeką, mandaryn
pole ryżowe ma
— żółte są chińskie dolary
jak z żółtej rzeki dna.

Żółty jest dolar jak księżyc
i w żółtej rzece lśni
— jak złowić trzeba go w sieci,
mandaryn dobrze wie.

Nad polem ryżu płynie
schylonych karków rzeka
— do sieci mandaryna
pot dolarami ścieka.

Fragment piosenki paryskiego studenta Li z tomu poezji **Zbigniewa Stolarka „Chińska ojczyzna“**. Wydawnictwo Prasa Wojskowa, stron 20.

*

Poznań podzielony jest na 11 dzielnic, ma 5 hoteli, tyleż pensjonatów, 16 restauracji i 21 kawiarń, 13 linii tramwajowych, 5 autobusowych i 4 trolleybusowe, 12 towarzystw naukowych i 25 aptek, 19 pism (w tym 6 dzienników) i 6 teatrów, 3 muzea i 6 bibliotek, wreszcie 50 zabytków godnych zwiedzenia, bo od samego początku istnienia państwa polskiego Poznań odgrywa w nim rolę wybitną. O wszystkim tym dowiadujemy się z PRZEWODNIKA PO MIEŚCIE, wydanego przez Wydawnictwo Zachodnie i Morskie, opracowanego zbiorowo, stron 144 plus mapa miasta, ilustracji i szkiców — 28.

*

21 grudnia 1948 w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu pod dyrekcją Wilama Horzycy odbyła się prapremiera sztuki **Romana Brandstaettera „Przemysław Drugi“**, której dwa akty drukowała ODRA w roku ubiegłym. Obecnie rzecz wyszła nakładem wydawn. „Merkuriusz“ drukiem, na pięknym papierze, bogato ilustrowana, z podobizną (rysunek W. Bartoszewicza) autora, stron 49. Wśród nielicznych naszych utworów dramaturgii współczesnej, jakie ukazują się w formie książkowej, jest to pozycja wybitna, tak co do wartości literackich, jak i edytorskich.

*

Jestem sobie takim domorosłym poetą. Robię powinszowania na urodziny, imieniny, wesela itp. Robię to wierszami i na życzenie polskim lub niemieckim językiem. Ta Aniela wiedziała o tym, toteż zamówiła takie życzenie dla matki, na urodziny. Mówię jej, że trzeba to zrobić po polsku, bo ojciec robił powstania itd. „Po polsku nie, tylko po niemiecku, a mój brat Fritz jest SA-manem“ — mówi ona — „a ojciec dobrze zrobił, bo onego teraz Niemcy byliby zastrzelili.“

To było podczas okupacji i podkreślam, że chociaż wiedziała, że jestem Polakiem, nigdy po polsku ze mną nie mówiła.

Pracuję i rozmyślam, jak postąpić z tą renegatką, gdy się wojna zakończy?

Armia Czerwona jest koło Dąbrowy, a właściciel tartaku mówi, że jeszcze nie ma bardzo źle, bo przyjdzie generał Model z zachodu i przepędzi bolszewików z powrotem za Moskwę. Na drugi dzień już nie przyszedł i nie wiem, czy żyje. Natomiast renegatka przyszła i powiada: „Ja już nie przyjdę, lecz wy wszyscy pracujcie, a kto nie będzie pracował, będzie zastrzelony“.

Wszystkich robotników wypłaciła, tylko mnie nie dała ani grosza i poszła.

Dnia 1 czerwca 1946 zostałem powołany do Miejskiego Komitetu PPR i pracowałem tam w charakterze protokólanta do 18 marca 1947. Mam 72 lata i siedem miesięcy, już nie pracuję, a mieszkam z żoną w tartaku i oczekuję, aże mnie św. Piotr zawezwie, żeby znów, lecz już ustnie, przedłożyć ostatni życiorys górnika.

Z życiorysu Gajowskiego Pawła z książki **ŻYCIORYSY GÓRNIKÓW**, opracowanie Maria Żywirska, wstęp Gustaw Morcinek, uwagi socjologiczne Józef Chałasiński, Wydawnictwo Związku Zawodowego Górników w Polsce, Katowice 1949, stron 346, nakład 3.200 (dlaczego taki mały?). Książka równie rewelacyjna co przedwojenne Pamiętniki bezrobotnych, chłopów czy emigrantów.

*

17. V. — Magda posadziła nareszcie kartofle. Może skończy już przecież ujadać, że pada z nadmiaru pracy, że zdycha z umęczenia i że ją niedługo wywloką na cmentarz (A tyje, o Boże!) Co ja mam z tą babą. Jak dobra, to do tańca i różańca, ale kiedy się wścieknie, to cała plebania dudni i zgrzyta od tych jazgotów i okropnych swarów. Wtenczas zamykam się w swym pokoju i odmawiam litanię do Przemienienia Pańskiego. Ale tak czy inaczej nie obyłbym się bez niej. To gosposia całą gębą. Pod jej ręką rośnie mój przychówek. W stodole mam jeszcze zeszłoroczne zboże, w oborze trzy piękne krowy, a za oknem całą masę kur i indyków. To tylko jej, Magdy zasługa!

Z rozważań proboszcza w nowej powieści **Józefa Nikodema Kłosowskiego „WALKA Z ANIOŁEM“** wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, 1949 stron 251.

*

Kiedy sto siedemdziesiąt pięć lat temu Diderot pisał ZAKONNICE, dni starej monarchii francuskiej były już policzone... Diderot pierwszy buntuje się przeciwko wszystkim niegodziwościom ówczesnego ustroju, przeciwko barbarzyńskim bezmyślnym przesądom, przeciwko całej arystokratycznej chińszczyźnie, pierwszy głosi rehabilitację pracy fizycznej, rzemieślniczej, podnosząc z wiekowego poniżenia stan średni i warstwy ludowe — „krowy-żywicielki“ całego społeczeństwa. Był to potężny cios wymierzony panującym dotychczas warstwom: szlachcie i duchowieństwu... W czasach, kiedy młode dziewczęta, zmuszone siłą do ślubów zakonnych, stawały się niejednokrotnie ofiarą ojcowskiej tyranii i źle rozumianej pobożności macierzyńskiej, Diderot występuje zdecydowanie w ich obronie w utworze ZAKONNICA.

Ze wstępu do polskiego wydania **ZAKONNICY Diderota** w przekładzie J. Piotrowicza, nakładem Wydawnictwa Ludowego, stron 221.

Zabawa w teatr

Francis Beaumont i John Fletcher: Rycerz Ognistego Pieprzu, burleska elżbietańska, przekład, adaptacja i reżyseria Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej, dekoracje Mariana Eilego, kostiumy projektu Janiny Ipohorskiej, muzyka Zbigniewa Turskiego, kierownik muzyczny Lech Bursa, choreografia Wanda Wróblewska. Premiera na Dużej Scenie Teatru Państwowego w Katowicach w dniu 8 czerwca br.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom i kalkulacjom, Państwowe Teatry Śląsko-Dąbrowskie w Katowicach i Sosnowcu przygotowały na zakończenie sezonu serię aż czterech premier. I to premier poza „Seansem“ poważnych, a jeśli chodzi o omawianą burleskę elżbietańską nawet wyjątkowych. „Rycerz Ognistego Pieprzu“ liczy sobie bowiem lat około trzystu czterdziestu, pochodzi już nie z epoki, ale z czasów Szekspira i na scenach polskich nie był dotychczas grany. Otrzymaliśmy zatem nieznany zupełnie publiczności polskiej utwór sceniczny z epoki elżbietańskiej, utwór zresztą prowokujący wprost do zestawień z Szekspirem, z tego zatem względu dla teatromana pasjonujący.

Trzeba zauważyć, że po wojnie teatry polskie wśród swoich normalnych ambicji artystycznych, przejawiły i tę, by od czasu do czasu „odkryć“ i pokazać jakiegoś autora klasycznego, który dotychczas nie docierał na sceny polskie. Dziś widzimy, że dotychczasowym niewątpliwym rezultatem tych odkrywczych w skali krajowej poszukiwań były krakowskie i łódzkie sukcesy sztuk *Lopez de Vegi*. Teatr katowicki pragnął dołączyć tu jeszcze dwóch dobrej marki autorów angielskich z początku XVII wieku, Beaumonta i Fletchera. Ambicja wydaje się celowa, ale odnosimy wrażenie, że pozostanie bez następstw. Sztuka spółki autorskiej ze schyłku epoki elżbietańskiej w tej formie, w jakiej ujrzeliśmy ją w Katowicach, nie ma przed sobą perspektyw większego powodzenia. Zainteresuje chyba tylko smakoszy teatralnych i ludzi bliżej interesujących się teatrem jako widowisko stanowiące próbę odświeżenia jednej z bardzo dawnych pozycji teatru europejskiego. Toteż próbę tę traktować należy jako cenny eksperyment sceniczny i niewątpliwie ważny dla kształtowania się naszej kultury teatralnej. Ważny jako pokaz i doświadczenie.

„Rycerz Ognistego Pieprzu“ w polskiej szacie jest dziełem *Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej* przy ważnym i decydującym współudziale twórcy muzycznej strony spektaklu *Zbigniewa Turskiego* oraz twórców strony plastycznej, *Mariana Eilego* (dekoracje) i *Janiny Ipohorskiej* (kostiumy). Nad realizacją spektaklu pracował zatem zespół ludzi o dużych kwalifikacjach artystycznych, co pozwalało oczekiwać nieprzeciętnego rezultatu. Że rezultat ten oczekiwaniom nie sprostał, to już sprawa szeregu różnych przyczyn, którym warto poświęcić nieco uwagi.

Wystawienie „Rycerza“ nie miało bez wątpienia na celu tylko zaspokojenia ambicji artystycznych realizatorki, chęci pokazania czegoś nowego u nas i oryginalnego. Leży ono na linii dążeń do stworzenia w Polsce teatru ludowego, teatru dla mas, takiego teatru, który już przez dobór repertuaru będzie predestynowany do zdobywania najmniej przygotowanego widza i przyuczania go do teatru prawdziwie artystycznego. Tego typu widz pragnie widowisk barwnych, pełnych ruchu i gwaru, muzycznych i śpiewnych, widowisk prawdziwie pogodnych i wesołych. W poszukiwaniu takiego repertuaru stara angielska burleska mogła się wydać materiałem wcale odpowiednim. Ale tylko pozornie. Jej konstrukcja, styl jej humoru, treść historycznie uwarunkowana i cały styl przestały już tworzyć widowisko ludowe. Rola widza w takim widowisku stawia już zbyt poważne wymagania. Zbyt wiele rzeczy trzeba sobie tłumaczyć historycznie i zbyt wiele elementów usprawiedliwiać różnymi pośrednimi argumentami. Bezpośrednia reakcja widza natrafia tu na wiele skomplikowanych przeszkód, które dadzą się ominąć tylko wówczas, gdy spojrzymy na nie z bardzo dalekiej historycznej i literackiej perspektywy. W rezultacie powstaje zbyt wielkie nagromadzenie umowności w widowisku, której przeciętny widz nie lubi i nie chce uznawać. W konkretnym wypadku „Rycerza Ognistego Pieprzu“ mamy bardzo subtelne i przez swe komplikacje śmieszne pomieszanie grupy siedemnastowiecznych mieszczan londyńskich z grupą aktorów grających dla nich sztukę. Musimy uchwycić trzy elementy: udział w widowisku kupca i jego żony (udział wybitnie inicjujący), zamieszanie, które wprowadza w graną w pokazanym nam na scenie teatrze sztukę ich pomocnik Ralf, oraz w końcu wątek samej pokazywanej na teatrum londyńskim sztuki, która tylko bezkrwawym zakończeniem różni się w charakterze od okrutnych losów Pyrama i Tysbe ze „Snu nocy letniej“. Odnoszę wrażenie, że wszystkie skrzyżowania tych trzech elementów uchwytne są tylko przy umiejętności historycznego spojrzenia na dzieje teatru europejskiego. Wrażenie bezpośrednie sprowadza się chyba tylko do kilkunastu wyjątkowo dobrze zrobionych scen.

Z tego faktu wynika sprawa druga. Od burleski wymagamy już tylko humoru, pełnej, obliczonej na nieskrępowany śmiech zabawy. Tymczasem „Rycerz“ okazuje się w całości historią dosyć nudną i mało zabawną. Efekt, o który chodzi, osiągają tylko drobne sytuacyjki i dwie sceny grupowe: pogrzeb i ćwiczenia wojskowe. W dodatku w scenie rzekomego pogrzebu największy udział ma muzyka, która dodaje niezrównanego komizmu eksportacji rzekomego nieboszczyka, a w scenie ćwiczeń kostiumolog.

Wreszcie sprawa trzecia, sprawa wkraczająca w zakres reżyserii i postawienia niektórych figur. Sprawa miłosna młodego Fraszki i Stypówny w tym ujęciu mogła się wydać czymś poważnym i wstrząsającym tylko widzom ze sztuki Beaumonta i Fletchera. Dla nas nie ma w niej ani jednej sceny, do której moglibyśmy się odnieść poważnie. A w katowickim przedstawieniu Filip Fraszka zbyt serio kochał i zbyt serio walczył o ukochaną metodami wielkiej tragicznej sztampy, pokazanymi przez pryzmat burleski. Wskutek tego reżyserka kazała nam się śmiać przede wszystkim z kupieckiego małżeństwa i ich pomocnika, a w dużej mierze pominęła komizm parodii samej „tragedii“. Tragedia ta została przy tym potraktowana nierówno, gdyż tylko Filip ze swoimi poważnymi tyradami, chociaż nawet nie przez cały ciąg swej roli wyskakiwał z ogólnej tendencji do groteskowej parodii. Nie rozumiem, dlaczego w tym ogólnym błaznowaniu na tematy tragedii jeden Filip Fraszka miałby nas próbować wzruszać żarem swoich uczuć i zachwycać swoim rzekomym bohaterstwem. A aktor grający tę rolę ustawicznie próby te ponawiał.

Krytyka tego widowiska sprowadza się zasadniczo do zagadnienia pomyłek. Chodzi o pomyłkę w wyborze sztuki i pomyłki reżyserskie. „Rycerz Ognistego Pieprzu“ jest zabawą w teatr, którą z upodobaniem — jak zapewnia inscenizatorka w „Wieczorach Teatralnych“ — uprawiają amatorskie zespoły studentów angielskich. Poza jednak powodami natury eksperymentatorskiej, próbnej i pokazowej trudno dopatrzeć się innych, które uzasadniałyby dostatecznie wystawienie tej burleski u nas.

Ale sama realizacja widowiska świadczy o staranności i czystości roboty teatralnej. Mimo, że pewna grupa aktorów siłą talentu i siłą wykonywanych ról musiała się wyróżnić, nie będę ich tutaj wymieniał dla podkreślenia wyrównanego poziomu aktorskiego całego widowiska, które pod tym względem korzystnie odbijało od mniej zresztą ważkich dwóch innych, chronologicznie najbliższych premier katowickiego teatru. Przy tak licznym pod względem obsady spektaklu tego rodzaju podsumowanie zespołowego wysiłku wydaje się najbardziej celowe.

Reżyserii poza powyżej omówioną pomyłką z Filipem zaniedbań żadnych chyba zarzucić nie można. Przeciwnie, stwierdzić trzeba wielki wkład wyrażającej się konkretnymi rezultatami artystycznymi pracy, widocznej w rozwiązaniu poszczególnych scen i sytuacji, w staraniu o linię poszczególnych ról i w dbałości o styl całego tak trudnego a efektownego w szczegółach scenicznych widowiska. Reżyserka wydobyła ze sztuki wiele subtelnych, pełnych smaku drobiazgów, które nie narzucały się, lecz doskonale harmonizowały z całością, charakterem i stylem tego w założeniu swym zwariowanego i rozbrykanego utworu, przez co z powodzeniem ocaliła w wielu momentach jego staroświecki urok i satyryczny podkład.

Jako laik mogę powiedzieć tylko, że *muzyka Zbigniewa Turskiego bardzo mi się podobała*. Reżyserka natomiast postarała się o jej świetne zespolenie z całością widowiska a wprowadzenie piątki „muzykantów“ na scenę i opracowanie ich aktorskiego udziału w akcji dało wyjątkowo dobry i rzadko spotykany efekt artystyczny. Rozwiązanie dekoracyjne *Mariana Eilego* starannie uwzględniało konstrukcję sceny w epoce elżbietańskiej i świadczyło o dbałości o zachowanie stylu. Ale zjeżdżania przystawek z góry należało już raczej unikać. Kostiumy projektu *Janiny Ipohorskiej* cechował pomysłowy dowcip. Zarówno oprawa dekoracyjna jak i strona kostiumowa sztuki dodały jej dużo komizmu i życia.

Chcąc podsumować wrażenia, trzeba powiedzieć, że całość spektaklu z powodów, które usiłowałem wskazać, nie daje efektu, na który był on zamierzony. Ale wiele jego elementów reprezentuje tak wysokie walory artystyczne, że chyba godne one były lepszej sprawy.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Mała Scena w Katowicach

Scena z „Seansu“ Noela Cowarda na Małej Scenie w Katowicach. Reżyserował Edward Żytecki. Na scenie Magda Radłowska, Stanisław Winczewski i Hanna Brochocka.

„Wycinanki Staropolskie“

„Pieśń o Sobótce“ Kochanowskiego w inscenizacji i reżyserii Ireny Parandowskiej

Z pewną obawą szłam na „Wycinanki Staropolskie“, wystawiane w „Naszym Teatrze“ w Warszawie. Dobry wiersz łatwo zepsuć inscenizacją; program zaś zapowiadał inscenizacje Kochanowskiego, Szymonowicza, Krasickiego, Karpińskiego i Mickiewicza. Ilekroć byłam na podobnych imprezach, zawsze niemal wypadało chwalić raczej dobrą wolę reżysera i aktorów, aniżeli samo wykonanie.

Z recenzji prasowych wiedziałam, że poprzedni program: „Romantyczność“ wywołał sporo zastrzeżeń, pisano właśnie o dobrej woli reżyserki, co nie brzmiało zachęcająco.

Teatr wypełniony był młodzieżą, jako że „Nasz Teatr“ przeznaczony jest dla młodego widza.

Już od pierwszego obrazu, od pierwszych słów zbyłam wszelkich obaw. Pieśń świętojańska o „Sobótce“ Kochanowskiego, grana przez młody i gorliwy zespół, toczyła się harmonijnie a żywo; szlachetnemu słowu nie działa się krzywda. A nie jest to małą pochwałą, gdy chodzi o najdoskonalszego z poetów.

Na pierwszą część programu składały się, prócz „Sobótki“, „Daphnis i Dziewka“ Szymonowicza, oraz „Żeńcy“. Z trzech tych utworów „Daphnis i Dziewka“ wydał mi się najszczęśliwiej inscenizowany.

„Żona modna“ Krasickiego stanowiła prawdziwą niespodziankę. Żabczyńska zebrała też najżywsze brawa i żałowano, że artystka w tej tylko roli występowała.

Niełatwo młodociany widz zapomni inscenizowane przez Irenę Parandowską utwory. „Nasz Teatr“ utrwala wśród młodzieży znajomość literatury i dostarcza szlachetnej rozrywki.

ANNA KOWALSKA.

„Świerszcz za kominem“ w Opolu

Jednym z lepszych osiągnięć Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej w obecnym sezonie jest wystawiona w dniu 20. 5 br. sztuka Karola Dickensa „Świerszcz za kominem“ w przekładzie i adaptacji scenicznej Janiny Morawskiej, reżyserii Ireny Byrskiej.

Recenzent teatralny zdaniem naszym winien mówić o pierwszych ludzkich sprawach, o rzeczach nam najbliższych i najbardziej nas interesujących, których omówienie sugeruje odtwarzany utwór. Recenzji teatralnych nie pisze się tylko dla wykonawców czy dla dyrekcji Teatru ale w pierwszym rzędzie dla publiczności.

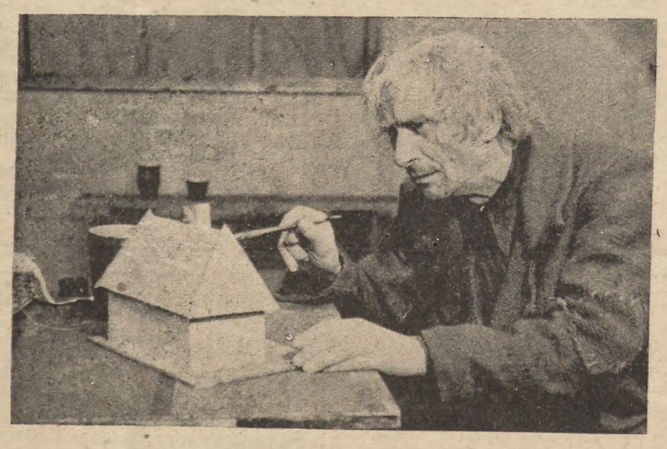

Stanisław Kubiński w roli Kaleba w „Świerszczu za kominem“
Foto Br. Stapiński

Już przeszło sto lat minęło, gdy jedna z trzech przepięknych „Opowieści Wigilijnych“ ukazała się spod pióra najbardziej poczytnego ze wszystkich powieściopisarzy angielskich. Karol Dickens, który od dzieciństwa poznał biedę i wyniósł z angielskiego środowiska kapitalistycznego wielką nienawiść do bogaczy, właścicieli ziemskich, bankierów i fabrykantów, od czasu wydania „Bleack House“ („Szary Dom“) w 1853 r., wystąpił jako otwarty przeciwnik całej dotychczasowej struktury gospodarczo-społecznej Anglii. „W Świerszczu za kominem“, w sielance małomieszczańskiej i pełnej atmosfery zacności i prostoty, chciał pokazać autor, że wszyscy ludzie na ziemi, bez względu na pochodzenie i zamowane stanowisko, pragną osiągnąć szczęście. Według Dickensa nie ma na świecie ludzi z natury złych i dlatego też wszystkie postacie jego utworów są to ludzie z gruntu dobrzy, którzy przy podjętych reformach, przyrodzoną swą dobrocią mogą dokonać wielkiego uzdrowienia stosunków ekonomiczno-społecznych. Dickens wierzył w to święcie. Według jego poglądów, przyroda, która nas otacza, zdolna jest dokonać cudu przemiany wnętrza człowieka. I tak po wewnętrznym wstrząsie Tackeltona (w III akcie), kiedy następuje moment konstrukcyjny, odzywa się świerszcz. Okrutny fabrykant zabawek dziecięcych Tackelton, który we własnym domu pozabijał świerszcze, teraz nie zdołał się oprzeć głosowi owada i cofa się przed jego zabiciem. Głos świerszcza zwycięża: Rodzi się człowiek Tackelton, a ginie Tackelton, okrutny pryncypał. Dla Dickensa ulubioną formą szczęścia ludzkiego to szczęście zbiorowe a nie osobiste. I tutaj leży wielki ciężar gatunkowy tego utworu po wszystkie czasy. Przypomnijmy sobie człowieka Tackeltona, który mówi: „Przyjaciele moi, wszyscy którzy tu siedzicie. W domu moim tak smutno, dziś wieczorem. Niema w nim nawet świerszczy u komina, wygnałem je wszystkie, pozwólcie mi przyłączyć się do waszego towarzystwa, będźcie tak łaskawi“.

Reżyseria sztuki, spoczywająca w rękach Ireny Byrskiej, wnosząc piętno oryginalnego ujęcia w tych scenach, gdzie udało się scalić momenty gry zespołowej i wydobyć nastrój dramatycznego napięcia rozmowie z Tackeltonem. Kropeczka Wandy Chloupek, przemiła i we właściwym charakterze odpowiadała zupełnie dickensowskiej atmosferze sztuki, wykazując szczególnie duże wyczucie matczynego serca. Stanisław Kubiński odtworzył postać Kaleba, obdarzając go ciepłem, szlachetnością tonu i naturalnością ruchu. Wielka szkoda tylko, że w pewnych momentach szukał pomocy suflera, zacierając przez to swą postać. Mamy jednak nadzieję, że gdy opanuje pamięciowo rolę, to stworzy postać Kaleba skrystalizowaną i ciekawą, rzadko spotykaną na naszych scenach. Krystyna Iłłakowicz w roli Berty naogół umiejętnie odtworzyła postać niewidomej, lecz czasem nie trafiała w ton i zatracała nastrój. Nieznajomemu w osobie St. Kosskowskiego nie mamy nic do zarzucenia ani do pochwały. To samo możemy powiedzieć o Sabinie Mielczarew (Maja). Postać Tackeltona w osobie Fr. Bay-Rydzewskiego nie przemawiała zbyt wyraźnie. Józefa Szpaczyńska (pani Fiedling) nie

Wanda Chloupek w roli Kropeczki w „Świerszczu za kominem“ Dickensa

ciowo rolę, to stworzy postać Kaleba skrystalizowaną i ciekawą, rzadko spotykaną na naszych scenach. Krystyna Iłłakowicz w roli Berty naogół umiejętnie odtworzyła postać niewidomej, lecz czasem nie trafiała w ton i zatracała nastrój. Nieznajomemu w osobie St. Kosskowskiego nie mamy nic do zarzucenia ani do pochwały. To samo możemy powiedzieć o Sabinie Mielczarew (Maja). Postać Tackeltona w osobie Fr. Bay-Rydzewskiego nie przemawiała zbyt wyraźnie. Józefa Szpaczyńska (pani Fiedling) nie harmonizowała z charakterem utworu, gdyż była raczej fredrowska niż dickensowska. Nie rozumiem tylko dlaczego postać Tyli odtwarzana przez Noemi Korsen dawała tak wiele sytuacji do śmiechu — co zapewnie nie było w zamiarze reżysera. A może sama postać w stylu holenderskiej dziewczyny wywoływała już sama przez się lekki śmiech widowni? Głos świerszcza w wykonaniu Ireny Byrskiej wypadł na premierze słabo, lecz poprawił się znacznie na dalszych przedstawieniach.

Poetyckość dickensowskiego przedstawienia w Opolu osiągnięto też przez podbudowę muzyczną. Nastrojowa melodia „Loch Lomond“, bardziej popularna w Anglii, niż w Szkocji, gdzie się zrodziła, otwierała akty, a taneczna piosenka angielska (w III akcie) grywana w tym kraju na wszelkich uroczystościach rodzinnych stwarzały miły nastrój. Tylko mała uwaga. Ta ostatnia winna być tańczona w łańcuchu tanecznym a nie parami. Dekoracje Ksawerego Halickiego naogół przyjemne. Irytująca jest tylko „komórka“ w II akcie, gdzie spotykają się Nieznajomy i Kropeczka. Operowanie światłem ze względów technicznych wypadło słabo, chociaż w pewnych scenach było dość poprawne. Stroje w stylu epoki ujęte zresztą bez przesady i zbytniego naturalizmu z wyjątkiem nieco odświętnego odzienia Berty bez najmniejszego zarzutu.

Michał Półczyński

Wczasy w pałacach

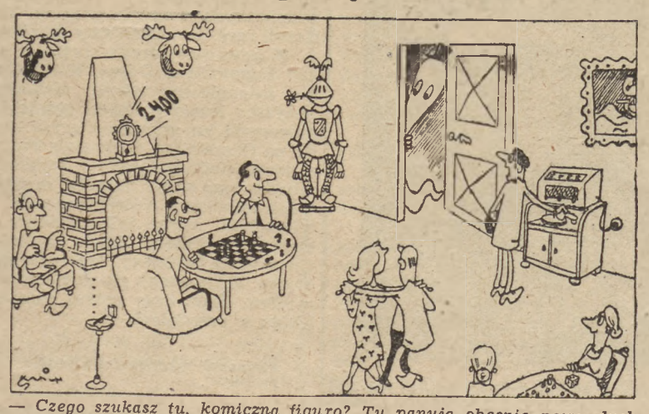

— Czego szukasz tu, komiczna figuro? Tu panuje obecnie nowy duch

Wśród CZASOPISM

O wydaniach zbiorowych dzieł wielkich pisarzy. — Problem pierwszych ośmiu tysięcy za Sienkiewicza i kilka zapytań. — Nieuczciwi gołębiarze.

Zanim te słowa dotrą do czytelników, już w całej chyba prasie głośna będzie sprawa zapowiedzi publikacji oczekiwanego zbiorowego wydania dzieł Henryka Sienkiewicza. Jest to w ruchu wydawniczym po wojnie dotychczas najbardziej pokrzywdzony klasyk naszej prozy. Najmniej z jego książek dotychczas wydano, toteż edycja zbiorowa oczekiwana jest naprawdę niecierpliwie i należy do jednej z najpilniejszych potrzeb wydawniczych.

Ale niecierpliwość się kończy. Wydawca Sienkiewicza — Państwowy Instytut Wydawniczy, który wziął ostatnio wielki rozmach i wybija się na czoło naszych wielkich wydawnictw — ogłosił już subskrypcję. Pierwszą wiadomość o niej przyniósł nr 23 *„Dziennika Literackiego“*. Wydanie zapowiedziane jest na 60 tomów i ukaże się w ciągu lat 1949—1950—1951. Rok bieżący obejmie już 20 tomów wydawnictwa. Ten ostatni fakt jest najbardziej pocieszający.

Ale w tej radości są i pewne kłopoty. Sześćdziesiąt tomów — to nie byle co, chyba cała półka w dosyć przestronej bibliotece domowej. Tylko jak dojść do kupna tego wydania? Całość kosztuje 30.000 zł. Na trzy lata można by to jakoś jeszcze rozłożyć, choć cena po 500 zł za tom nie jest bynajmniej niska. Ale raty subskrypcyjne są niestety zbyt skumulowane. W roku 1949 trzeba wpłacić już 13.000 zł, t. zn. dwa razy po 5.000 zł oraz przy pierwszej racie 3.000 zł zaliczki na dalsze tomy jako gwarancję utrzymania prenumeraty do końca. Nęcący jest wprawdzie fakt, że po pierwszych ośmiu tysiącach otrzymuje się od razu 10 tomów a po drugich pięciu wpłaconych do 15 listopada br. następnych dziesięć, ale sprawa 8.000 zł potrzebnych na początek nie dla każdego jest prosta. Raczej odwrotnie, w ramach mniej więcej normalnego budżetu pracowniczego przedstawia się dosyć skomplikowanie.

A nowy rok trzeba znów zaczynać od wpłacenia pierwszej raty za rok 1950 do dnia 15 stycznia w wysokości dalszych pięciu tysięcy.

Żale te mają na celu spowodowanie reformy tej subskrypcji. Przy sześćdziesięciu tomach planowanego na trzy lata wydania, przy zmienności ceny książki, która w ciągu ostatnich trzech lat wzrosła przynajmniej trzykrotnie, wydawnictwo ma tu trudności niemałe i musi sobie zagwarantować uniknięcie poważnych strat. Ale jest chyba jeszcze inne wyjście. Twórczość Sienkiewicza jest bogata i bardzo różnorodna. Sześćdziesiąt tomów obejmie jej całość, ale przecież przeciętnemu czytelnikowi w Polsce całość ta nie jest potrzebna. Nie będą go interesowały felietony, większość publicystyki, nieudałe dramaty, recenzje, „Mieszaniny literacko-artystyczne“ i szereg pism pomniejszych. Przeciętny czytelnik pragnie mieć Sienkiewicza najlepszego. I dlatego konieczne jest równocześnie z całością dzieł pisarza wydanie obszernego wyboru jego pism, który może poprzestałby na połowie tych tomów, które obejmie pełna edycja. Ten wybór byłby znacznie dostępniejszy dla prywatnego nabywcy a jego pokupność umożliwiłaby lepszą kalkulację całości zamierzenia wydawniczego.

Witając z radością pierwszą jaskółkę zbiorowego wydania Sienkiewicza, projekt powyższy poddaję Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu pod rozwagę.

A teraz sprawy dalsze. W marcu bież. roku prenumeratorzy zbiorowego wydania narodowego dzieł Mickiewicza otrzymali bardzo uprzejmy druczek zapowiadający, że wkrótce już rozpocznie się ekspedycja pierwszych czterech tomów dla tych, którzy wpłacili przedpłatę. Od dwóch miesięcy natomiast tęsknym okiem obserwujemy na wystawie w Katowicach owe pierwsze tomy, które leżą tam, kuszą i nęcą, a czekamy na próżno co dzień na listonosza, który ma nam je przynieść do domu. W każdym razie nie oczekiwaliśmy — rozumiejąc wszystkie trudności związane z tak masowym i starannym wydaniem —, że poezje Mickiewicza znajdą się najpierw w sprzedaży a dopiero znacznie później w ręku tych, którzy rok temu wpłacili już prenumeratę.

Kiedyś na tym samym miejscu witaliśmy z radością zapowiedź Ossolineum dwóch wydań Słowackiego — pełnego i wyboru. Rok Słowackiego mamy w całej pełni, a o wydaniu tym dotychczas nic nie słychać.

Przed trzema, zdaje się, miesiącami poszedłem do księgarni i chciałem zaprenumerować z opóźnieniem zbiorowe wydanie Prusa. Tak się bowiem złożyło, że znajomi lubiący pożyczać książki zdewastowali mi zupełnie wydanie przedwojenne, z którego uratowałem tylko te tomy, którymi w czasie wojny zaopiekowali się na Śląsku (zresztą dosyć niestarannie) ... Niemcy, którzy gdzieś je zmagazynowali w jakiejś urzędowej piwnicy, skąd przypadkiem odzyskałem je przez ... Kraków. Pragnąłem zapłacić za tomy dotychczas wydane i zaprenumerować dalsze. Niestety — prenumeraty, mimo że wydawnictwo jest w toku, już nie przyjmowano.

Takie są żale z okazji wydań zbiorowych naszych klasyków. Może wydawnictwa, które się wydań tych podjęły, zechcą je rozważyć i jakoś temu zaradzić. Braki w zakresie tych edycji są wobec normalizacji życia i rosnących potrzeb coraz dotkliwsze.

Przy tej okazji kilka uwag o pożyczaniu książek. Dyskusję na ten temat rozpętał Tadeusz Kwiatkowski w *„Dzienniku Literackim“* z okazji Tygodnia Książki i Oświaty, a podtrzymuje ją w tymże piśmie Wojciech Natanson (nr 23). Natanson przez przekorę, jak się przyznaje, wskazuje na zalety pożyczania książek. W razie wojennego kataklizmu książki rozpożyczone ludziom mogą się gdzieś uratować i wracają potem do zrujnowanego bibliofila „jak gołębie wypuszczone w przestrzeń“. Racja jest i po jednej i po drugiej stronie. Książka powinna krążyć i wtedy spełnia dopiero swą rolę społeczną. Ale jakże tu ją wypuszczać w nieznane jak gołębia, skoro mamy do czynienia przeważnie z gołębiarzami nieuczciwymi lub co najmniej leniwymi, którym nie chce się zwrócić ptaka, który wyfrunął z cudzego gołębnika. Dopóki nie wychowamy sobie uczciwego odbiorcy i użytkownika książki, wypożyczanie książek powinno być dla bibliofilów zakazane. Przede wszystkim zaś nie wolno wypożyczać książek z kompletów i wydań zbiorowych. Ponieważ dyskusja o pożyczaniu ma wiele akcentów osobistych, szkicuję swój własny bilans na tym odcinku: trylogia Sienkiewicza bez „Wołodyjowskiego“ (nie licząc „pożyczonych“ „Krzyżaków“, którzy nie wykazali również gołębiego instynktu i nie powrócili), dwa zdekompletowane przez pożyczających wydania Mickiewicza, jedno w takimż stanie wydanie Słowackiego, przetrzebiony straszliwie Prus i Orkan, a do tego jeszcze kilka pozycji ze starannie kompletowanego zbioru antologii poetyckich, dziś niezwykle cennych, a co ważniejsza dotychczas nie zastąpionych. Nie licząc już książek, które wróciły do mnie mocno sfatygowane i egzemplarzy spoza kompletów.

I jak tu przy takich smutnych doświadczeniach pożyczać?

Felieton ten będę pokazywał wszystkim, którzy będą mnie prosili o pożyczenie książki. Zamiast odpowiedzi. Ale mam miękkie serce i jestem przekonany, że przekonają mnie obietnicą poprawy.

(ki)

Kronika kulturalna Wrocławia

WROCŁAW (gg). W dniach 4—6 czerwca br. obradował we Wrocławiu 9-ty Zjazd Orientalistów Polskich, zwołany przez Polskie Towarzystwo Orientalistyczne. W czasie trwania zjazdu wygłoszono 19 referatów naukowych na tematy z różnych dziedzin orientalistyki. Zarówno referaty, jak i dyskusje, jakie rozwinęły się po referatach, dobitnie świadczą o zainteresowaniu naukami orientalistycznymi i o żywotności tej gałęzi wiedzy.

Obradom przewodniczyli: J. Czechanowski, A. Klawek i H. Willman-Grabowska. W ramach Zjazdu odbyło się również walne zebranie Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego, na którym dokonano wyboru nowych władz Towarzystwa na najbliższe trzechlecie (1949—1951). Nowy skład zarządu przedstawia się następująco: A. Zajączkowski — prezes, A. Klawek — wiceprezes, M. Lewicki — sekretarz, T. Lewicki — skarbnik, W. Jabłoński oraz J. Kuryłowicz — członkowie zarządu.

W zjeździe wzięło udział 26 członków Towarzystwa i 20 gości. Z okazji zjazdu redakcja Rocznika Orientalistycznego przygotowała 15-ty tom tego czasopisma Tom ten obejmuje rozprawy uczonych polskich i zagranicznych.

± 10 czerwca br. odbył się w Żydowskim Teatrze Dolnośląskim pierwszy piątek literacko-kulturalny. W ramach tego wieczoru red. B. Marek podzielił się wrażeniami z Kongresu Pokoju w Paryżu.

± W lokalu Ligi Kobiet przy ul. Świdnickiej 31, otwarta została wystawa prac plastycznych Marii Zabłockiej. — Wystawę zwiedzać można codziennie od godz. 10—17.

± Staraniem Polskiego Związku Zachodniego zorganizowana została 10 czerwca br. w Szkole Powszechnej nr 17 przy ul. Bossak-Haukego 33 — Akademia Mickiewiczowska.

± 11 czerwca odbyła się w lokalu Ligi Kobiet II-go obwodu przy ul. Reja 47 — akademia, w czasie której wygłoszono kilka ciekawych referatów, między innymi na temat: „Tendencje demokratyczne i postępowe w twórczości i życiu Adama Mickiewicza“.

*Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry“, Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik“. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawnicz